

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 5 (152)

LUBIN

2021 r.



**Elewacja frontowa z bramą wjazdową zamku w Świrzu
(1892-1912). Fot. Albin Friedrich.**

Źródło: www.polona.pl

Szanowni Krajanie,



sprawie odnowienia mogiły UPA na górze Monastyr wypowiedział się na wideoblogu (youtube.com/watch?v=sKjaH1Tcrpl.g) Anatolij Szarij, ukraiński działacz społeczny.

- Co to za mogiła? Kto tam jest pochowany? - pyta. I dodaje, że według oficjalnego dziennika rządu są tam pochowani żołnierze UPA, którzy wcześniej brali udział w udanym przedsięwzięciu zwanym „rajdem na pociąg pasażerski”, jadący na trasie Beżec-Rawa Ruska. Ta grupa ukraińskich „partyzantów” pod dowództwem „Jastruba”, Dmytro Karpenki, zatrzymała pociąg, oddzieliła Ukraińców i Niemców od Polaków, i tych ostatnich zamordowała, rabując ich rzeczy osobiste. Śmierć poniosło ponad 70 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wielu z nich miało zmasakrowane ciała. Jak widać udana operacja polegała na tym, że upowcy skierowali broń przeciwko ludziom bezbronnym. Niektóre gazety ukraińskie piszą o „bohaterskim naddnieprzańskim Jastrubie”.

Ten czyn upowców A. Szarij nazywa ludobójstwem i przez to ukraińscy nacjonaliści i neobanderowcy grożą mu utratą życia, zaś tamtejsza służba bezpieczeństwa straszy go aresztowaniem i wieloletnim więzieniem.

W pewnym sensie Anatolija Szarija można zaliczyć do grona „Sprawiedliwych” Ukraińców, którzy w latach 1943-1944 usiłowali się przeciwstawić się nacjonalistom z OUN-UPA, i których nacjonaliści za to mordowali.

Lubin, wrzesień 2021 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 152

Str.

3. Kartka z pamiętnika. [L. Cyganik]. Słodkie i kwaśne odcienie życia (III).
19. M. Piotrowska. Oczy Kornblumenbła.
19. J. Wyspiański. Przemyślańskie „święto” rolników w 1943 r.
22. Audycja radiowa J. Majchrzaka z 1957 r. w Radiu Wrocław.
28. Historia nie jest narzędziem wychowania patriotycznego (I) - wywiad M. Goldy z W. Rasewyczem.
31. Wydarzenia wypisane z Dziennika Urzędowego Województwa Tarnopolskiego (I).
35. J. Wyspiański. Deportacje Polaków z pow. przemysłańskiego (XV).
36. M. Skalski. Ukraińcy - czy na pewno bliscy kulturowo? (cz. I).
41. Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych” - ze szkoły w Wyżnianach, Zadwórz, Zamościu i Żędowicach.
44. Cześć zwycięzcom Judasza!

Red. Poniższy tekst jest fragmentem książki Leopolda Cyganika o tym samym tytule, która ukazała się w 2020 r.

Leopold Cyganik

Słodkie i kwaśne odcienie życia (cz. III)

8. Strajk

Zawsze byłem dobry w gimnastyce (choć nieodpowiedni stopień z zachowania dostałem dlatego, że nie poszedłem na zawody międzygimnazjalne w dwa ognie, o których po prostu nie wiedziałem...). Doktor Kubicki opłacił mi zajęcia w amerykańskiej fundacji sportowej IMKA, gdzie pobierałem przede wszystkim naukę pływania. Niestety wkrótce Amerykanie wycofali się z coraz bardziej komunistycznej Polski i moje zajęcia na pływalni ustały. Znajomość z doktorem trwała jednak nadal, ale widywałem go dość sporadycznie. Nasze państwo coraz bardziej przypominało Związek Radziecki. Zaczęła się walka z religią, kościołem, starymi zwyczajami i prawdziwą historią Polski, coraz bardziej zniekształcaną przez „nową rzeczywistość”. Pierwszy odzew ze strony uczniów i studentów przeciwko decyzjom zapadającym w Polsce miał miejsce w 1946 roku.

Był maj. Poszedłem do szkoły. Już z daleka widziałem, że na ulicach gromadzą się uczniowie i uczennice z około pięciu pobliskich szkół. Idąc w ślady kolegów, którzy dotarli tu przede mną, ja także stałem się agitatorem i namawiałem, by uczniowie nie szli do szkoły, tylko zostali na ulicy. Obok nas przechodził katecheta, ksiądz doktor Stanisław Dąbrowski, który miał w zwyczaju zwracać się do nas per „chłopyszkę”. Przez co ja z kolei tytułowałem go księdzem panem profesorem.

- Dokąd proszę księdza pana profesora, ksiądz idzie? - zapytałem.

- Do szkoły - odparł nieco zdziwiony.

- Kilku z naszych kolegów już tam jest - odparłem. Ale poszli tam wbrew naszej woli.

- Ale ja nie mogę zostać - obronił się.

- Wobec tego uprzedzam - nie dawałem za wygraną - że jeśli ksiądz nie postawi im wszystkim lufy, będziemy żyli w nieprzyjaźni.

Pozwoliłem sobie na bardzo wiele wobec człowieka, który trzymał duży dystans między uczniami a swoją osobą. Mimo to potem dowie-

działem się, że siedmiu naszych kolegów (nie zapominajmy, że to była szkoła męska) poszło wówczas na lekcje, zapewne nie chcąc się narażać, i wszyscy zostali przemaglowani niczym na końcowo rocznym egzaminie. I każdy jeden dostał ocenę niedostateczną od księdza doktora. Nasza akcja była pierwszym generalnym strajkiem przeciwko władzy i jej postępowaniu. Szczerze mówiąc, ja nie do końca rozumiałem o co chodzi, jakie były konkretnie postulaty protestującej młodzieży. Dla mnie było ważne jedynie to, że mogłem uczestniczyć w strajku przeciwko Rosjanom, których z całego serca i szczerze nienawidziłem. Jawili mi się oni jako ludzie, przez których straciłem dom, spokój i rodzinę.

Tu pragnę zrobić małą dygresję i trochę wybiec w przód. Ludzie z Kresów, którzy żywili ogromną niechęć (choć to małe słowo) do Rosjan, wiedzieli, że trzeba przywrócić w Polsce porządek. A to rozumieli przez pozbycie się wroga. Wychodząc na ulicę zakładali, że im się uda. Nie przypuszczali, że komunizm sowiecki będzie się panoszyć w tym kraju jeszcze przez czterdzieści lat! Pamiętam, jak ciotki opowiadały mi, że gdy wprowadziły się do mieszkania we Wrocławiu, moja babcia zrobiła coś, co dla nich było normalne, a dla dzisiejszych ludzi wręcz niepojęte. Babcia miała przy sobie przywiezione ze Lwowa dwa worki z chlebem (sucharami). W jej pojęciu niedługo po raz kolejny miała się rozpętać wojna, która przywróciłaby Kresy Polakom. A chleb był podczas wojny bardzo cenny. Więc przy ładnej pogodzie, babcia przesuszała zapasy chleba, by nie spleśniały.

Kiedy ludzie ze Lwowa i okolic szukali sobie we Wrocławiu lokum, celowo brali jak najmniejsze, by móc w razie czego szybko się spakować i wrócić do domu. Ja, wtedy w Krakowie stojąc pod szkołą, wiedziałem, o co walczę. O kraj bez okupanta. Strajk nie przyniósł ofiar, mimo iż wydaje mi się, że na ulicę wyjechały nawet radzieckie czołgi. Jednakże w ramach ukarania protestujących uczniów władza postanowiła wydalić nas ze szkoły. Wszyscy musieliśmy pisać podanie o ponowne przyjęcie do gimnazjum. Oczywiście, zrobiliśmy to i przyjęto nas z powrotem. W stosunku do młodzieży było to jedynie pogrożenie palcem. Powoli wdrażano reżim, którego przejawy obserwowaliśmy podczas trwania naszej edukacji.

Na przykład: braliśmy udział w pochodach pierwszomajowych. Kazano nam wtedy przychodzić na szóstą trzydzieści rano i zmuszano do wielogodzinnego pochodu. Po odprawie wyruszaliśmy marszem, około

dwunastej przechodząc koło trybuny na Dunajskiego, niedaleko placu Matejki. O trzynastej pochód był rozwiązywany. Byliśmy bardzo zmęczeni i rochodziliśmy się do swoich domów, bez wesołości czy entuzjazmu. W dodatku nikogo nie mogło na takim pochodzie zabraknąć. Nasz dyrektor, Pawłowski, sprawdzał obecność. Za nieobecność groziły uczniom kary. Oczywiście pod warunkiem, że jakiś nadgorliwy nauczyciel czy uczeń doniósł odpowiednim osobom o takiej absencji. Trzeba jednak przypomnieć, że ówczesni nauczyciele, w mojej przynajmniej szkole, to ci przedwojenni. Robili więc wszystko, by uczniom nie działa się krzywda ze strony władzy. Bywali surowi, nawet bardzo. Ja sam dostałem niegdyś nieodpowiednie zachowanie. Co prawda nie z mojej winy. Nie zostałem wcześniej poinformowany i nie dotarłem na zawody, za co zostałem ukarany złą oceną.

Teraz z perspektywy czasu widzę, że nauczyciele musieli tacy być i trzymać nas krótko. Bo pomiędzy uczniami dobrze wychowanymi, zadbanymi, z dobrymi manierami i codziennie z pysznym drugim śniadaniem, byli tacy jak ja - dzieci wojny - sieroty lub półsieroty, nie potrafiące się uczyć, a nierzadko też integrować. I to na nas należało zwrócić szczególną uwagę. Nam trzeba było pomóc nauczyć się żyć w społeczeństwie, w poczuciu estetyki, wyrażać swoje emocje i przyswajać wiedzę. Dlatego na przykład nasz profesor od fizyki, pan Chorwacki, w niedzielę po mszy zabierał nas na spacer po starym Krakowie, którym się fascynował i o którym dużo nam opowiadał. Ale robił to w taki sposób, by nas zainteresować, niekonwencjonalnie. Za sprawą zapewne znajomości, wprowadzał nas tam, gdzie nie docierali zwykli turyści. Inny znów profesor, od biologii, zabierał nas na wycieczki. Lecz te także nie były do końca zwyczajne. Ich biwakowy charakter sprzyjał zacieśnianiu więzi i rozwijaniu sportowego ducha. (Bo trasy, które przebywaliśmy, były ciężkie, nawet bardzo).

Z kolei w szkole, na przerwach, graliśmy z kolegami w zoşkę lub w bibra. Pierwsza polegała na podrzucaniu nogą ołowianej kulki, przywiązanej do „wásów” zrobionych z włóczki i przekazywaniu jej w ten sposób innemu graczowi. Grube nici sterowały lotem ołowianego obciążnika. Najważniejsze było to, by „piłka” nie upadła na ziemię. W drugiej zaś zasady były nieco trudniejsze. Najpierw punktowało się... brodę. Ruda, przez nas nazywana ryżą, to piętnaście punktów, czarna dziesięć, a blond pięć. Potem ustalało się zadanie, na przykład: za dotknięcie brody danego koloru, podwójna ilość punktów. Tuż obok naszej szkoły znajdował się

zakon kapucynów, w którym wszyscy mieli brody. Opracowaliśmy więc pewną metodę. Łapaliśmy muchy i przyklejaliśmy je do opuszków palców. Podchodziliśmy do zakonnika i dotykaliśmy jego zarostu ze słowami:

- „Przepraszam, ale coś się braciszkowi przykleiło do brody”. Nieświadomy zakonnik serdecznie dziękował, a „szanowna komisja” liczyła punkty. Graliśmy również w cymbergaja. W tej grze strzelaliśmy do bramek guzikami. Wyrzutnią był naprężony grzebień, a za boisko służyła nam szkolna ławka lub profesorki stół, oczywiście pod nieobecność gospodarza. Czasem też posadzka. Różnie. Na szkolnym boisku, zaraz przy murze kapucynów, było takie miejsce do rozwiązywania koleżeńskich sporów. Oczywiście nie odbywało się tam nic innego, jak walka na pięści. Trwało to raczej krótko i... różnie wyglądało.

Z pewnością największej rozrywki dostarczało to „kibicom”, rozstrzygającym waśnie. Naturalnie biłem się tam kilka razy. Zawsze jakoś głupio trafiałem, bo na silniejszego od siebie. Nie wiem jak to się działo, może dlatego, że sam byłem raczej chucherkiem. Ale kiedyś któryś z moich tęgich przeciwników trafił we mnie tak nieszczęśliwie (dla niego rzecz jasna), że wybił sobie palec i walka się zakończyła. Innym razem, już poza szkolnymi murami, biłem się z niejakim Kowalskim. Graliśmy wcześniej w piłkę, nieopodal stacji, którą ten wynajmował od nauczyciela łaciny, pana Malaszko. Nie wiem, dlaczego Kowalski chciał się ze mną bić. Ale w głowie utkwiło mi kilka faktów. Po pierwsze przeciwnik był naprawdę duży. Po drugie miał na sobie coś w rodzaju rękawic bokserskich domowej roboty. Ruszyliśmy na siebie biegnąc ile tchu. Mój plan był prosty - unikać ciosów i zmęczyć przeciwnika. Kiedy tak biegłem, wyciągnąłem przed siebie wyprostowaną rękę. I nie wiem jak do tego doszło, ale Kowalski nadział się na tę moją „żelazną pięść”. Zachwiał się i, ku mojemu zdziwieniu, ogłoszono koniec walki, w której zwyciężyłem. Miałem wiele szczęścia, nie da się ukryć.

Dużo oczywiście zawdzięczałem sobie. Umiałem zaskarbić sobie przychylność nauczycieli. Jeśli jakiś, zapewne słusznie, chciał mi postawić dwóję na półroczu lub koniec roku, pozostali, którzy bardzo mnie lubili wstawiali się za mną o tróję na szynach, co wiedziałem od mojej nauczycielki - sąsiadki, pani Krzyżanowskiej. Umiałem o sobie zadbać, to na pewno. Mimo to zdarzało mi się... „minąć” ze szkołą. Być może było już nieco za późno, by tam dotrzeć, a być może to kwestia zbyt pięknej pogody na marnowanie jej w zimnych, szkolnych murach. Dlatego idąc przez

Planty, nagle w mgnieniu oka znajdowałem się na krakowskich Błoniach, nad rzeką, gdzie spotykałem innych amatorów słonecznych wagarów. Rozmawialiśmy, opalaliśmy się, a gdy zbliżała się czternasta, wracaliśmy do domu, zupełnie tak jakbyśmy przez cały dzień pilnie się uczyli. Pewnego dnia, podczas takiego powrotu wpadłem na swoją wychowawczynię. Co było po prostu straszne... Spojrzała na mnie, srogo.

- Co ty jesteś taki czerwony? Pochorowałeś się? - zapytała nagle.

Zdębiałem.

- Tak, właśnie... wracam od lekarza - odpowiedziałem, bez zastanowienia, choć ciągle będąc w szoku. Dopiero do mnie dotarło, że musiałem się nieźle spiec na słońcu. Profesorka kazała mi wracać do domu, co oczywiście zrobiłem. Innym razem siedziałem w klasie wraz z kolegami. Czekaliśmy na profesora od chemii. Gdy tylko wszedł, od razu wykrzyczał moje nazwisko.

- Cyganik! - Tak jest - zerwałem się na równe nogi nie mając pojęcia, o co może chodzić.

- To niedopuszczalne! - zaczął chemik. Następnie przez równe piętnaście minut, mówiąc kolokwialnie, opieprzał mnie z góry na dół. I tak samo jak na początku całej sceny, tak i na jej końcu, nie miałem pojęcia o co mu w ogóle chodzi. Nie pamiętałem, żebym mu się naraził, czy w jakiś sposób mu zaszkodził. Kiedy skończył, grzecznie go przeprosiłem, nawet kilkukrotnie. Całą pozostałą część lekcji myślałem, w jaki sposób i kiedy go uraziłem. W końcu postanowiłem go o to zapytać. Gdy nastąpiła przerwa, podszedłem do niego.

- Panie profesorze - zacząłem nieśmiało - z pewnością ma pan rację, ganiąc mnie za moje zachowanie, ale chciałem zapytać, za co właściwie pan się na mnie tak gniewa?

- Co? To ty nie wiesz? - zapytał rozgniewany profesor. - A po św. Jana kto wczoraj szedł?

- No... ja - odparłem, bo faktycznie tak było.

- I kto mi się nie uklonił? - pohukiwał chemik.

- Przepraszam najmocniej - ukorzyłem się raz jeszcze. Musiałem być niezwykle zamyślony, skoro go nie zauważyłem.

9. Nielegalna drużyna harcerska

Sprawność fizyczna i moja ciągła, już wtedy ujawniająca się, potrzeba organizowania i przywództwa doprowadziły do tego, że założyłem druży-

nę harcerską na Kazimierzu. Przy gazowni miejskiej znajdował się barak, rzadko używany. Objąłem go w posiadanie wraz ze swoimi zuchami. Było nas wtedy kilkunastu. Lokal był porządnym i spełniał nasze oczekiwania, szczególnie gdy go wysprzątałyśmy. Nasza drużyna zaczęła funkcjonować. Z nazwisk moich zuchów pamiętam tylko jedno: Żurek. Raczej ich nie używaliśmy. Trzeba przecież pamiętać, że byliśmy jeszcze bardzo młodzi. Pochodziliśmy z biednych rodzin, ale mieliśmy duże ambicje. Zarejestrowałem nas w hufcu, ale nasza drużyna i tak była postrzegana jako „dzika”.



Fotografia z okresu
gdy byłem harcerzem.

W międzyczasie dorabiałem się kolejnych stopni harcerskich: młodzika, wywiadowcy, potem ćwika. Choć nie do końca uznana przez hufiec, moja drużyna świetnie funkcjonowała. Już wtedy miałem takie wrażenie, że dodatkowe zajęcia dobrze mi służą, a szczególnie fakt, że mam gdzie się spełniać organizatorsko. W którymś momencie naszej działalności uznałem, że najwyższy czas zdobyć jakieś środki materialne na pierwsze zuchowe wakacje. Zwołałem zabranie moich chłopców, na które kazałem im przyprowadzić rodziców. W końcu namówiłem starszyznę, by pomogła nam zorganizować kilka zabaw w budynku gazowni. Na takich zabawach można było dobrze zarobić (mam tu na myśli bufet oraz wstęp). I właśnie po to byli mi potrzebni rodzice - do przygoto-

wania tego, co miało się sprzedać. Ja sam postarałem się o salę u dyrektora gazowni. Zdobyłem też fundusz na obwieszczenia. Jako urodzony praktyk, ponieważ za pierwsze kilkaset sztuk płaciło się mniej niż za kolejne setki, kazałem wydrukować pięćset bez daty, byśmy potem mogli ją dopisywać przy kolejnych, organizowanych przez nas imprezach. Na koniec w urzędzie finansowym zdobyłem dziurkowane bilety. Byliśmy gotowi. I odnieśliśmy sukces. Bilety były niedrogie, rodzice obsługiwali imprezy, a resztą zajmowałem się ja - główny organizator. Dzięki trzem zabawom jakie zro-

biliśmy, zebraliśmy odpowiedni fundusz na wynajęcie domu w Bukowinie Tatrzańskiej.

Znów dzięki pomocy któregoś z rodziców wynajęliśmy samochód ciężarowy z paką, bez ławek i pasów naturalnie, to były inne czasy... Zapakowaliśmy się do niego z naszym dobytkiem i ruszyliśmy do Bukowiny. W domu jeszcze nikt nie mieszkał, ale budynek był już skończony, dlatego pewnie jego wynajem nie kosztował dużo. Wyposażenie optowało, za zgodą gazdy, w słomę i siano, na których spaliśmy. Przed domem był długi stół i ławki, a w suterenie kuchnia. Wodę nosiliśmy ze strumienia lub ze studni. Budynek, w którym pomieszkivaliśmy, został wybudowany za starym domostwem. Dlatego gazda miał nas na oku.

Na miejscu zorganizowałem wyżywienie i kucharkę, która miała nam gotować na czas naszego pobytu. Chodziliśmy na piękne wycieczki, zwiedzaliśmy i cieszyliśmy się górskim powietrzem. Pewnego dnia rano, po przebudzeniu, zorientowaliśmy się, że nasza kucharka zniknęła, nie zostawiwszy nam śniadania. Czekaliśmy na nią jeszcze przez dwie godziny i uznaliśmy, że chyba już nie wróci. Sami zrobiliśmy sobie śniadanie. Ale na myśl o obiedzie zrobiło nam się przykro. Trzeba było znaleźć natychmiast zastępstwo. Jednak to nie było łatwe. I z pewnością nie natychmiast. Dlatego na ten jeden dzień wcieliłem się w rolę „szefowej kuchni”. Sam zaopatrywałem nas w jedzenie. Pozostało mi teraz tylko w odpowiednim garze spróbować je przyrządzić. I mimo, że obiad w tym dniu był nieco spóźniony, wyszedł wyśmienicie. Potem udało mi się znaleźć kucharkę, która gotowała nam do ostatniego dnia. Do dziś nie znam przyczyn odejścia tej pierwszej. Musiała po prostu mieć dość. Choć nie uważam, że daliśmy jej ku temu powody. Na wakacjach odwiedził nas parę razy kapelan harcerski. Do dziś zastanawiam się, czy mógł to być Karol Wojtyła, który w tamtym czasie pełnił podobną funkcję. Niestety tego nie pamiętam. Wspominam ten wyjazd bardzo ciepło i uważam za niezwykle udany.

„Schody” zaczęły dopiero po powrocie. Po wspianiałej przygodzie w Bukowinie Tatrzańskiej, gdy wróciliśmy do domu, dowiedzieliśmy się, że na zjeździe w Spale Harcerstwo Polskie zostało zlikwidowane. W zamian utworzono nową organizację, Czerwone Harcerstwo. Odbyło się też ostatnie spotkanie drużyny Drużynowych, na którym pożegnaliśmy dotychczasowy kształt harcerstwa w Polsce. Część drużynowych zdecydowała się przejść na etaty instruktorów do nowej organizacji, która

przecież, jak wiadomo, była stricte komunistyczną. Większość jednak postanowiła pożegnać się ze swoją funkcją i odejść. W tym ja. Co prawda za prowadzenie dzikiej drużyny jeszcze nie trafiało się do więzienia, co w niedługim czasie uległo zmianie, ale już nie było zgodne z przepisami. Władza kusiła byłych drużynowych stypendium za przejście na etat instruktora. Ale ja, po tym co widziałem na Kresach, szczerze nienawidziłem nowego ustroju. Dlatego rozwiązaliśmy. Starłem się sobie wypełnić pustkę po dotychczasowym zajęciu. Czas w szkole jakoś płynął. Co chwilę zabierano mi rok nauki, przez różnorakie reformy. Na przykład otrzymałem promocję do klasy pierwszej, dawnej drugiej i musiałem być w pierwszej dwa razy pod rząd, choć uczyłem się przecież w miarę dobrze. Wspominam też, że młodzież w szkole, choć nie byli to bandyci, jeśli nie pochodziła z bardzo dobrych domów, lubiła nosić przy sobie niebezpieczne zabawki. Od noża po granat w kieszeni. Z nauką też bywało różnie. Nawet ja, po tragicznych ocenach na półroczu, nadrabiałem, by nie powtarzać klasy i wychodziłem obronną ręką na koniec roku. Przede wszystkim chciałem mieć wolne wakacje, by nie musieć uczyć się do egzaminów ostatniej szansy.

Mimo wielu wad i ciężkich czasów za sobą, młodzież miała duży respekt do nauczycieli, którzy byli tak wielkimi autorytetami, że pamiętam do dziś ich nazwiska. Nauczyciele szczególnie zwracali szczególną uwagę na pewnego typu aspekty naszego zachowania. Uczyli nas od podstaw, kto pierwszy powinien wychodzić, a kto wchodzić, że kobietom się ustępuje w wejściu a starszym w tramwaju, czy kościele, kto pierwszy powinien do kogo wyciągać rękę. Ogólnie: jak się zachować. Wielu z nas nie miało o tym bladego pojęcia. Chodziliśmy z nauczycielami do teatru i na koncerty. Co niedzielę na dziewiątą rano uczęszczaliśmy na mszę świętą, a przed postem czy adwentem - na rekolekcje. Nasz ksiądz, doktor Stanisław Dąbrowski, bardzo o to dbał, by nie użyć dobitniejszego sformułowania. Było kiedyś takie zdarzenie, podczas rekolekcji, jak u franciszkanów trwała spowiedź. Jeden z braci zakonnych, starszy człowiek z długą, siwą brodą, siedział w konfesjonale. Obserwowaliśmy, jak kilka razy podczas spowiedzi łapał się za tę brodę i cały trząsł, gniewnie kręcąc głową. Miało to miejsce kilka razy i nie tylko przy jednej osobie. Kiedy podczas spowiadania czwartego, czy piątego ucznia, nadal reagował nerwowo łapiąc się za zarost i trzęsąc, cała chmara chętnych do wyznania win, rozpierzchła się i zniknęła spod jego konfesjonału. Okazało się, że

spowiednik trząsł się słysząc o jakimś większym przewinieniu, wyrażając w ten sposób swoją dezaprobatę.

Miałem też takie zdarzenie. Siedzieliśmy z kolegami na Plantach na ławeczce. Obok nas przechodził starszy człowiek, w habicie i chyba płaszczu. Nagle zwrócił się do nas:

- Młodziankowie, nie wiecie może gdzie tu mieszka kardynał Sapiecha? - zapytał.

- Musi ksiądz tu niedaleko skręcić w lewo, w Franciszkańską - kolega tłumaczył uprzejmie. Ale ja przypatrywałem się owemu księdzu przez chwilę i nagle mnie olśniło.

- Proszę księdza kardynała - zwróciłem się do niego z niekrytą troską. - Czy Jego Eminencja zapomniał, gdzie mieszka?

Ale kardynał mi nie odpowiedział tylko bardzo się ucieszył, najprawdopodobniej dlatego, że ktoś go rozpoznał. Tak bardzo, że gdy odszedł od nas, podskoczył z radości i bez słowa, ale z uśmiechem na ustach, poszedł do swojej rezydencji.

Tak mijał mi czas w Krakowie. Jako jeden z ostatnich przed edukacyjną zawieruchą ukończyłem gimnazjum tak zwaną małą maturą w roku 1949. Gdy nadchodziły wakacje, miałem wolną rękę. Mogłem jechać gdzie tylko chciałem, o ile miałem pieniądze. Dorabiałem na handlu. Jeździłem do Wrocławia i zarabiałem u wujka Staszka Wierzbickiego, męża ciotki Ani, w hali targowej. Przed wojną we Lwowie Wierzbicki miał perfumerię. Pamiętam jak dobierał swoim klientkom zapachy. Nie był to sklep ani bardzo duży ani ekskluzywny, ale w tamtych czasach inaczej podchodzono do klienteli. W powojennym Wrocławiu Staszek otworzył sklep z butami. Czasem mnie u siebie zatrudniał. Jechałem wtedy do Krakowa, zabierając ze sobą pieniądze. Zostawiałem je w wyznaczonym miejscu, zabierałem paczkę z butami i wracałem do Wrocławia.

Mimo że było już po wojnie, czasem mnie rewidowano, próbując odebrać towar, zupełnie jak na Krakidałach. Ale ja już to znałem i podobne zdarzenia nie były dla mnie nowością. Nauczyłem się ich unikać. Pieniądze oszczędzałem także na tramwajach, jak zwykle zresztą. Dostawałem je od ciotki, jeździłem na stopniach lub tylnym zderzaku i zatrzymywałem dla siebie oszczędności. Kiedyś zamyśliłem się, siedząc sobie na tyle tramwaju. Kiedy pojazd się zatrzymywał należało zeskoczyć ze zderzaka i wrócić, gdy ruszał. Ale ja przegapiłem ten moment i motorniczy złapał mnie na gorącym uczynku. Nie wiem czym się wtedy posiłkował, laską,

czy jakimś prętem. Ale porządnie złoł mi skórę. Dla wyjaśnienia: podobne praktyki były przecież nielegalne i bardzo niebezpieczne! Nieważne, że tramwaje były obwieszane jak winorośl za każdej strony ekstremalnymi podróżującymi. Mentalność ludzi była jednak taka, że oszczędzali tłumacząc, że nie będą płacić okupantom za bilety. Najpierw Niemcom, potem Rosjanom.

10. Aresztowanie i więzienie na Montelupich

Podczas wakacji, które poprzedzały początek mojej nauki w liceum, zamieniłem harcerstwo na podziemną organizację. Wiedziałem, jakie konsekwencje mogę ponieść za przynależność do podobnej frakcji. Nie wiedziałem tylko, że stanie się to tak szybko... Ciotka Lola zmieniła w międzyczasie pracę. Zatrudnił ją ksiądz proboszcz na Grzegórkach. Mieszkalem już tylko z nią, bo wujek Józek zabrał babcię, a swoją mamę, do Wrocławia. Ja zdałem do liceum imienia Augusta Witkowskiego. Kolejne reformy odebrały mi następny rok z życia, bo z klasy dziewiątej, dostałem promocję do... dziewiątej „d”. „D” było określeniem starego systemu, w którym się uczyłem. W międzyczasie zlikwidowano szkoły gimnazjalne i stworzono tak zwane wieloletnie, jedenastoklasowe.

W każdym razie miałem się edukować jeszcze przez dwa lata. Moja kariera w podziemiu właśnie się rozpoczęła. Po przysiedze otrzymałem nawet pseudonim operacyjny: „Czarny”. Nie zdążyłem jeszcze wziąć udziału w żadnej akcji, kiedy w drugiej połowie października, chyba dokładnie siedemnastego, 1949 roku, po godzinie dziewiątej ktoś zapukał do drzwi naszego mieszkania. Okazało się, że byli to ubecy i to uzbrojeni. W pierwszym rzędzie zarządzili rewizję. Ciotka oczywiście nie miała pojęcia, że przynależę do podziemia. Takie przeżycie, zaraz po trudach wojny musiało kosztować ją wiele zdrowia. Po dwóch, może trzech godzinach, jeden z ubeków skuł mnie (podczas gdy reszta została w mieszkaniu) i zabrał na posterunek MO przy ulicy Lubicz. Stamtąd samochodem odwieziono mnie do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Tak się zaczęła moja odsiadka za sprzeciwianie się władzy ludowej. Zaraz po aresztowaniu zaczynał się tak zwany kocioł. Szukano wtedy krewnych aresztowanego, którzy także mogli jętrzyć wewnątrz aparatu państwowego.

Mój wujek Wierzbicki wpadł właśnie w taki kocioł. Jednak on umiał sobie z ubekami poradzić. Miał pieniądze, więc posłał po jedzenie i wódkę. Wychwalając i hołubiąc władzy ludowej przez dwa dni przekonywał agentów bezpieki, że nie ma nic wspólnego z podziemiem. Dzięki

temu uniknął aresztowania. Po tygodniu kocioł się skończył i moja rodzina mogła odetchnąć. Jakiegokolwiek szukanie mnie, czy próba wyciągnięcia z tarapatów, były zupełnie bezcelowe. O tym gdzie siedzi więzień polityczny, rodzina dowiadywała się zazwyczaj po dwóch miesiącach. Tak miało się też stać w moim przypadku.

Kiedy umieszczono mnie w areszcie, zaczęło się śledztwo w mojej sprawie. Ponieważ w organizacji byłem bardzo krótko, nie miałem zbyt dużej kartoteki. Przyznałem się, że należałem do organizacji, ale nic na jej temat nie wiem. Dowiedziałem się też, że mój dowódca został aresztowany pierwszy, a grupę rozbito. W przeciągu dwóch miesięcy skończyło się śledztwo. W areszcie przeżyłem pierwszy szok. Do podziemnych cel schodziło się po betonowych stopniach. Ubek, który mnie prowadził na dół, pchnął mnie na schody tak, że upadłem. Pamiętam ból w biodrze. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że podczas upadku złamałem kość udową. Na domiar złego, było to złamanie z wkliniowaniem, o czym dowiedziałem się dopiero kilka lat po wyjściu z więzienia. Co najsmieszniesze, owe kilka lat później ten uraz uwolnił mnie od wyjazdu na obóz wojskowy i zapewnił kategorię „D” w wojsku, choć początkowo przyznano mi „A”. W areszcie nie było spacerniaka, dlatego złamanie miało czas zrosnąć się, jak to u młodego człowieka, jak na psie.

W pierwszej połowie grudnia przeniesiono mnie na Montelupich w Krakowie. Zostałem umieszczony w celi numer 159. Pomieszczenie, w którym przebywałem wraz z trzydziestoma ośmioma innymi więźniami, miało może czterdzieści metrów kwadratowych. Nie było skanalizowane, więc do załatwiania potrzeb fizjologicznych służyła beczka, stojąca w rogu. Nie mieliśmy na czym spać. Coś takiego jak więzienna prycza było jedynie marzeniem. Tym bardziej że każdy nowy lokator otrzymywał zaszczytne miejsce na podłodze, zaraz obok beczki z fekaliami. Po wyrokach więźniów często przenoszono do zakładów karnych na terenie kraju. A nowi na Montelupich, stawali się starsi stażem i ustępowali miejsca przy „kiblu” innym, „nowym”. Wkrótce nawet nie prycza a miejsce przy oknie, które miałem zająć, kiedy stałbym się najstarszym stażem w celi, stało się moim marzeniem. Lecz droga do niego była długa.

Mój proces odbył się w Rejonowym Sądzie Wojskowym, który także mieścił się przy Montelupich, około dwustu metrów od więzienia. 30 grudnia 1949 roku dostałem wezwanie z dokładnymi wytycznymi do stawienia się na rozprawie (co najmniej tak, jakbym miał jakiegokolwiek

wpływ na to czy pojawię się na procesie, czy nie). Zawsze pilnowano, by taki jak ja, mający się stawić w sądzie oskarżony, był ogolony, czysty i pachnący, chociaż nie zawsze było to możliwe, przecież wszystko zdawało się przed celą. Czasem na proces oskarżonego doprowadzano nawet w kalesonach i cieniotkiej koszulinie.

Jak każdemu, przydzielono mi obrońcę z urzędu. Mój adwokat nazywał się Liebeskind, co dosłownie znaczy „ukochane dziecko”, a w slangu miało nieco ostrzejsze i mniej cenzuralne znaczenie [1]. Jakiś czas później dowiedziałem się, że w Stanach Zjednoczonych mieszka znany architekt o tym nazwisku. Jestem niemal przekonany, że był to jego syn. Mój obrońca, semickiego pochodzenia, najwyraźniej wiedział kiedy należy opuścić Polskę, by nie zostać z niej potem „delikatnie wyproszonym”, co przecież zrobił Władysław Gomułka [2].

Proces mojej skromnej osoby odbył się w niedużej sali, ponieważ nie był tak „atrakcyjny” jak rozprawy nazistów czy wrogów państwa polskiego. Dostałem pięć lat pozbawienia: wolności, praw majątkowych i obywatelskich. I tak był to najniższy z możliwych wyroków za ten rodzaj przestępstwa. Skoro można było pójść do więzienia za opowiadanie dowcipu, który zaliczał się do niepoprawnych politycznie... Wtedy otrzymywało się rok bezwzględного więzienia lub - jeśli dotyczył Związku Radzieckiego - półtora. Były też grupowe wyroki. W żargonie więziennym nazywaliśmy ten paragraf kodeksu karnego „wiedział nie powiedział”. Ot, na przykład za to, że przez podhalańską wieś przeszedł ktoś z bronią, której mógł potem użyć w walce z nową władzą. I jeśli ktoś go widział, otrzymywał wyrok za niepoinformowanie władzy o incydencie.

Ja natomiast zostałem także skazany na pozbawienie mienia na rzecz skarbu państwa. Państwo z pewnością bardzo się wzbogaciło na tym moim majątku, który posiadałem. W uzasadnieniu wyroku okazało się, że jestem szczególnie niebezpieczny w okresie budowy i odbudowy państwa polskiego, co wynikało artykułu czternastego Dekretu Małego Kodeksu Karnego Wojska Polskiego, paragraf pierwszy.

Nowy rok witałem na Montelupich jako skazany. Po procesie jeszcze długo siedziałem w tym samym więzieniu. W celi nadal było bardzo ciasno. Spaliśmy w trzech rzędach, a pod głowę dostaliśmy posiekany siennik, podzielony na nas wszystkich. Nie było koców, więc noce były bardzo zimne, coraz zresztą zimniejsze. W celi było tak ciasno, że jeśli jeden z nas chciał się przekręcić na drugi bok, kilku leżących obok musiało

zrobić to samo. Podczas pobytu na Montelupich doczekałem się pierwszych odwiedzin i paczki z żywnością. Bo wyżywienie w więzieniu było żadne, a takie paczki od odwiedzających - bardzo cenne. Na Montelupich panował niesamowity ruch. Kolejnych więźniów przenoszono w głąb kraju.

Podczas odsiadki poznałem kilka ciekawych osób. Żołnierza AK, który w Szczucinie wykonał wyrok śmierci na konfidentie niemieckim. Krótki pobyt w szpitalu z tytułu przeziębienia sprawił, że poznałem człowieka o nazwisku Gąsienica - Makowski, który był przedwojennym



Więzienie w Krakowie na ul. Montelupich.
Fot. Damian Daraż (www.investmap.pl).

dwójkarzem [3], po wojnie wielokrotnie aresztowanym za szpiegostwo. W czasie okupacji kilka razy uciekał z niemieckich więzień. Ostatecznie trafił do Auschwitz, z którego także udało mu się zwać. Stało się to, kiedy dostał możliwość wychodzenia za „pierwsze druty” [4]. Pomiędzy płotami znajdowała się strefa gospodarcza, gdzie mieściła się kotłownia, pralnia i tak dalej. Gąsienica stworzył sobie plan ucieczki. Przygotował na strychu deskę, na którą w chwili nieuwagi esesmanów (ale i współwięźniów) wpęłził i postanowił poczekać. Na wieczornym apelu usłyszał wycie syren. Trzeba pamiętać, że Niemcom bardzo zależało, żeby nikt nie uciekł z obozu. Świat nie wiedział, co dzieje się w Auschwitz, Birkenau, Dachau i innych kaźniach. I absolutnie nie miał się tego dowiedzieć, szczególnie od naocznego świadka. Uruchomiono całą straż, włącznie z psami i wszystkimi dostępnymi narzędziami do przeszukiwania terenu. A Gąsienica siedział na swojej desce i czekał.

Po trzech dniach, tu cytuję: „Bozia zesłała mu piękną burzę”. Ściemniało się. W deszczu Gąsienica podczołgał się pod wieżyczkę. Wszedł na nią i zabił strażnika, zabierając mu karabin. Nikt nie zakładał

przecież, że pozostał na terenie obozu. Z bronią i hukiem piorunów w tle dwójkarz uciekł. Biegł tak długo, dopóki nie padł. Na moście nieopodal spotkał się z patrolem niemieckim. Żadna ze stron nie zaczęła strzelać. Żołnierze wiedzieli, że nie mają żadnych szans ze zdesperowanym uciekinierem, który miał w posiadaniu karabin maszynowy. W końcu minęli się „kurtuazyjnie” i Gąsienica uciekł dalej. Kiedy nie miał już sił, zobaczył chałupkę w lesie. Nie wiedział jaka odległość dzieli go od obozu. Wiadomo przecież było, że w jego pobliżu mieszkali tylko folksdojczcy, by sprawować dodatkową kontrolę nad terenem. Mimo to dwójkarz był już tak wyczerpany, że zapukał do drzwi domu. Miał na sobie pasiaka, więc był rozpoznawalny. Przed chatą wyszedł stary człowiek.

- Jesteś głodny? - zapytał, gdy zobaczył steranego, wycieńczonego Gąsienicę.

- Tak - odpowiedział uciekinier.

- Zaraz ci coś przyniosę - powiedział staruszek i schował się do chaty. Gąsienica chwilę się zastanowił i przyszło mu do głowy, że uczynny pustelnik może wcale nie zechcieć mu pomóc. Do tego w chacie mogli być na przykład Niemcy. Dlatego nie czekając schował się w bezpiecznym miejscu, z którego widać było dom i czekał na rozwój wydarzeń. Po jakimś czasie staruszek wrócił z jedzeniem.

- Nie uwierzył mi... - powiedział, stawiając patelnię z jajecznicą przed drzwiami. Gąsienica zerwał się na ten widok. W końcu się najadł. Po dojściu na Podhale, dwójkarz zorganizował grupę AK ze swoich kuzynów Gąsieniców. W jej skład wchodziło mnóstwo osób. Kiedy Rosjanie rozpoczęli ofensywę, a Niemcy zostali okrążeni i mogli uciekać tylko przez Dolinę Kościeliską do Czechosłowacji, Gąsienica rozbił ich ze swoim oddziałem. Rosjanie dziękowali mu za pomoc w rozgromieniu wrogiej armii. Kiedy podhalański dowódca wraz ze swoją grupą żołnierzy z Tatr dotarł do Krzeszowic, ci sami Rosjanie już go aresztowali. A przynajmniej tak twierdził Gąsienica. Bo dotąd nie do końca jestem przekonany co do prawdziwości wszystkich jego historii. Ale słuchałem go, bo niezwykle ciekawie je opowiadał.

Dzieliłem celę z różnymi ludźmi. W więziennym tyglu poznałem się między innymi z działaczami podziemia, młodzieżą z Podhala, ze złodziejami, mniej lub bardziej wytrawnymi, z pięcioma jezuitami, którzy wpadli za kazanie, z adwokatem, z innymi akowcami, ale i z folksdojczami, z bardzo postępowym i inteligentnym Żydem, który nie dał się

zwerbować przez UB, a nawet z dwudziestoletnim wnukiem Szprechera.



W ostatnim okresie pobytu w Krakowie
mieszkałam z ciocią Lolą.

Szprecher był jednym z najbogatszych Żydów we Lwowie. Do dziś pamiętam, że posiadał najwyższą kamienicę przy ulicy Akademickiej, która do dziś istnieje. Chłopak nazywał się Depelier, gdyż jego mama, córka Szprechera, wyszła za francuskiego arystokratę. I zresztą na stałe wnuk Szprechera mieszkał właśnie we

Francji. Polskę odwiedził tylko po to, by poznać ojczyznę swoich dziadków i matki. Przyjechał pięknym chevroletem z zewnętrznymi reflektorami... Może zbyt pięknym, bo niedługo po przyjeździe został aresztowany. Podejrzewano go o szpiegostwo. Nawet ściągnięto mu koronki z zębów, w ramach rewizji osobistej. Chłopak bardzo przeżywał całą sytuację i był w złej kondycji psychicznej. Nie ma się zresztą czemu dziwić. Takie przywitanie w ojczyźnie przodków...

Trochę z nim rozmawiałem. Opowiadał mi o swojej rodzinie, którą sam oceniał jako... pechową, czego przecież on był najlepszym przykładem. Na przykład: we Lwowie jeden z jego stryjków zginął podczas przyjęcia, kiedy wyszedł przed willę Szprechera. Ktoś zastrzelił go z samochodu. Część jego rodziny mieszkała w Stanach Zjednoczonych, gdzie inny krewny zginął w wypadku samochodowym. A do tego to aresztowanie podczas wycieczki do Polski. Z pewnością młody Depelier nie planował kolejnych podróży po ojczyźnie swojej mamy.

Nasza izba więzienna była ostatnią przed kratą, za którą - w przedłużeniu korytarza - cele były już pojedyncze, a zajmowali je skazani na śmierć. Pamiętam, że oddziałowy zabierał mnie do takiej indywidualnej kamery, w której siedział Niemiec mówiący po polsku, w czarnym mundurze. Nie pamiętam jak się nazywał, ale musiał to być ktoś bardzo

znaczący. Prawdopodobnie służył w SS Auschwitz na jakimś wysokim stanowisku. Później okazało się, że moje jedno, a czasem parogodzinne wizyty u Niemca służy temu, by mój tymczasowy współwięzień nic sobie nie zrobił przed wykonaniem wyroku. Kilukrotnie nawet z nim rozmawiałem, choć dziś nie pamiętam zupełnie o czym. „Starsi” koledzy z mojej celi uświadomili mnie, że nie ja pierwszy i zapewne jeszcze nie ostatni przesiaduję z Niemcem i pilnuję jego „bezpieczeństwa”.

W końcu w pierwszej połowie kwietnia doczekałem się miejsca przy oknie, a właściwie blendzie. Oknem tego przecież by nie nazwał. Była to mleczna szyba zbrojona, zamontowana na stałe pod wąskim kątem, otwarta ku górze. Przez blendy było widać jedynie skrawek nieba i nie dało się ich zamknąć ani szerzej otworzyć. Oczywiście chodziło o potencjalną komunikację między oczekującymi na wyroki. Nie przeszkadzało nam to jednak w rozmowach przez wywierconą w ścianie dziurę czy porozumiewaniu się alfabetem Morse' a poprzez pukanie w rury.

Na Montelupich poznałem też młodego księdza. Był on jednym z tych, którzy zostali wyświęceni zaraz po wojnie. Nazywał się Andrzej Mistak. Pochodził z Wieliczki. Pamiętam go dobrze, bo niedługo później przeniesiono mnie do innej celi. Innymi słowy, długo nie pospałem przy wymarzonym oknie.

Cdn.

[1] S...syn.

[2] I Sekretarz KC PZPR w latach 1943-1948 oraz 1956-1970.

[3] Dwójka to żołnierz wywiadu.

[4] Płot odgradzający teren mieszkalny w obozie od gospodarczego. W slangu obozowym „iść na druty” oznaczało dać się zastrzelić przy płocie zewnętrznym. Był to rodzaj samobójstwa.

**My, Polacy, naszych bohaterów ściągamy w dół, degradujemy,
bo zżera nas robak zawiści - tak było od wieków, ale dzisiaj odczu-
wamy to szczególnie mocno**

Bartosz Szydłowski

Mieczysława Piotrowska

Oczy Kornblumenbla

Największa moja miłość jesienią to wrzos
skąpany pośród ros
i taki jakiś liliowy, że można stracić głowę.
Poproszę, może mi trochę da
pięknego Kornblumenbla,
bym miała oczy koloru kąkoli,
ale milczeniem mi nie pozwolił,
powinnam bowiem być szczęśliwa,
że oczy mam po prostu siwe.

Utwór pochodzi ze zbioru „Supelki tęsknoty”. Tomik został ofiarowany redakcji przez p. Romanę Drobińską, córkę Autorki.

Józef Wyspiański

Przemyślańskie „święto” rolników w 1943 r.

W czasopiśmie ukraińskim „Tarnopolski Gołos” z 18.07.1943 r., str. 6, znajduje się opis spotkania przedstawicieli rolników z rejonu Przemyślan z niemiecką władzą okupacyjną. Tekst ma tytuł - *Chliborobskie swito w Peremyslanach. Poczesne zawdannia gospodarja*. Było to „święto” narzucone przez okupantów służące wywieraniu nacisku na ukraińskich i polskich rolników z powiatu do pełnego zdawania narzuconych kontyngentów rolniczych (zbożowych, mięsnych i innych). Z lektury

gazety wynika, że podobne „święta” były obchodzone w innych miastach obwodu złoczowskiego i tarnopolskiego. Nie ma informacji o obecności polskich rolników na tym „święcie”, choć do udziału na pewno mogli być wyznaczeni pod przymusem.

Obcość tego święta wynikała z jego nieobecności w kulturze chłopskiej, gdyż święto związane z plonami zawsze było połączone z dożynkami (nazywane przez polskich rolników) lub świętem urodzaju - *Свято врожаю* (nazywane przez rusińskich rolników). Oba obchodzono wówczas, gdy płody zbożowe zostały zwiezione z pola i znalazły się w gospodarskich stodołach.

Maksymalny rabunek ziarna od rolników miał bardzo ważne znaczenie. Wycofująca się armia sowiecka w 1941 r. paliła ogromne łany zbóż, a na wiosnę 1942 r. nikt nie mógł w całości obsiać. W następnym roku Niemcy stracili te tereny i wówczas zabór płodów rolnych jeszcze bardziej zmalał. Musieli więc zwiększyć obciążenie rolników na terenach okupowanych.

Okupantowi niemieckiemu pomagała redakcja wymienionej gazety, zamieszczając na stronach apele typu: *Gospodarzu! (Chliborobie!) Niemiecki miecz obroni Ciebie przed krwiożerczym żydowskim bolszewizmem. Za to Ty oddaj w całości kontyngent lub Obowiązkowe i chętne oddanie płodów ziemnych umożliwi dobry przydział produktów żywnościowych robotnikom i pracownikom w miastach. Dlatego spełnij swój obowiązek.* Takie wezwania ukazywały się na przemian w każdym wydaniu gazety.

Obciążenie kontyngentowe nie było jednakowe dla polskich i ukraińskich gospodarzy. Ukraińska władza na najniższym szczeblu narzucała polskim rolnikom zawyżone normy, a ukraińskim mniejsze. [1]

Widocznie oddane kontyngenty nie zadowalały okupantów, dlatego policja ukraińska rewidowała polskie gospodarstwa a znalezione nadwyżki rekwirowała. Z tego względu bezprawny, dodatkowy zabór zboża był przez świrskich Polaków nazwany kontyngentem ukraińskim. Broniąc się przed zajęciem ziarna rolnicy zakopywali zboże w ziemi lub chowali w przemysłnych skrytkach. Niektórzy mieszkańcy wiosek (Kopań) nielegalnie wywozili do Lwowa produkty żywnościowe (jajka, ser, mięso) na targ lub do znanych osób.

Pomoc Ukraińskiego Komitetu Centralnego okupantowi w zakresie przymusowego oddawania płodów rolnych stanowi z jednej strony

przykład pełnej kolaboracji, a z drugiej przyzwolenie na wywóz dóbr rolnych. O tej współpracy z hitlerowskim reżimem na obecnej Ukrainie zdaje się nie pamiętać.

Wybór daty „święta” nie był przypadkowy. Przed kilkoma dniami, 28 czerwca, nastąpiła całkowita likwidacja przemysłańskiego getta, a nielicznych Żydów, zdolnych do pracy, wywieziono do obozu pracy w Kurowicach. Miasto było *Judenfrei* i żadne odgłosy i niespodzianki z getta nie mogły zakłócić uroczystości. Oto treść komunikatu z gazety.

Honorowe zadania gospodarzy

Dnia 4 lipca tego roku [1943 - dop. J.W.] mieszkańcy powiatu Przemysłań obchodzili w powiecie coroczne święto rolnicze, w którym uczestniczył starosta okręgu dr Wendt, okręgowy kierownik rolnictwa Weisleben oraz przedstawiciele UCK i OCK [UCK - Ukraiński Centralny Komitet, OCK - Okręgowy Centralny Komitet - dop. J.W.]. Obchodzenie tego święta w przeddzień najgorętszego czasu w corocznej pracy chłopów ma swoje szczególne znaczenie. Podkreśla ważną rolę, jaką odgrywa stan rolnictwa w zakresie żywności dla frontu i ludności cywilnej. W tym dniu rolnicy są świadomi swego trudnego, ale szczególnie honorowego zadania, które jest bardzo ważne dla sprawy zwycięskiego świata.

Z powodu złej pogody obchody święta musiały być ograniczone. Kilkaset odświętnie ubranych uczestników wypełniło kino „Central”. Przedstawiciele władz, Komitetu Ukraińskiego oraz zgromadzonych gości przywitał organizator delegacji UCK - Chanyk.

Następnie głos zabrał kierownik rolnictwa ze Złoczowa, podkreślając wagę obowiązków chłopów i zachęcając ich do sumienności, jak to miało miejsce w ubiegłym roku, w sprawie przekazania kontyngentu zbożowego.

Występowali również przedstawiciele UCK, inż. Szeparowycz i inż. Krochmaluk, którzy poruszyli drugą, nie mniej ważną dla wszystkich kwestię - utworzenie sił zbrojnych w ramach SS - Dywizji Strzelców „Galitien”.

Dr Wendt wezwał społeczeństwo ukraińskie do współpracy na rzecz lepszej przyszłości. Indywidualne występy prelegentów, przeplatane pieśniami chóralnymi w wykonaniu chóru z Glinian, zakończył organizator, dziękując zebrany za przybycie i wyrażając przekonanie, że rolnicy powiatu sumiennie wypełnią swój obowiązek.

Następnie uczestnicy święta utworzyli kolumnę, która przeszła ulicami miasta. Brali w niej udział, w zorganizowanej kolumnie, ochotnicy do dywizji SS, 300-osobowa banderia kawalerii, smukłe rzędy dziewcząt w haftowanych bluzkach i długie szeregi chłopów. Uderzający był udział społeczny chłopstwa z rejonu Glinian. Ulice miasta zostały udekorowane.

Tym wydarzeniem mieszkańcy powiatu przemysłańskiego podkreślili swoją gotowość do dalszego pozytywnego rozwiązywania wszystkich problemów związanych z życiem powiatu i kraju. (Tłum. J.W.)



Budynek przedwojennej siedziby „Sokoła” w Przemyślanach. W czasie okupacji niemieckiej Ukraińcy nazwali go kinem „Central”.

Fot. Adam Groblewski.

[1] Por. J. Wyspiański, Barbarzyństwa OUN-UPA. Lubin 2009, str. 109.

Red. Wersję dźwiękową audycji przekazały dwie osoby: p. Krzysztof Stefan i p. Maria Majerczyk, a redakcja biuletynu przetworzyła ją na zapis tekstowy. Redakcja dziękuje Prezesowi Zarządowi Radia Wrocław za zgodę na publikację audycji. Krótki opis audycji był podany w biuletynie „Spotkania Świrzan” nr 84, str. 30.

Audycja radiowa Józefa Majchrzaka z 1957 r. w Radiu Wrocław

Wszystko zaczęło się od Jana Zazulaka. Przyjechał tu na Dolny Śląsk spod Lwowa. Osiedlił się w Gierałtowie, bo to i ładna wieś, łąkami otoczona, bogata, ziemia urodzajna.

A że lubił Zazulak śpiewać od małego i grać na czym popadło, więc i w Gierałtowie zabrał się do tego. Kiedyśmy przybyli do Gierałtowa, dom, w którym mieszka Zazulak, wskazał nam mały chłopiec. Zazulak zwany tutaj z honorami kapelmistrzem, przeglądał właśnie swoje instrumenty, a ma już ich tyle porozwieszanych, że już mu dwie ścianki nie wystarczą. We wsi prowadzi orkiestrę dętą strażaków, a w świetlicy gromadzkiej, znajdującej się tuż obok jego mieszkania, kapelę ludową i zespół śpiewaczy.

Wstąpmy do świetlicy. Na szczęście, zastaliśmy tutaj ojca gromady, przewodniczącego Józefa Zagórskiego, który zna tu wszystkich jak własną rodzinę.

- No nic dziwnego. Widzi pan, myśmy przyjechali tu 12 lat temu, wszyscy razem, bo wszyscy z jednej miejscowości spod Lwowa, ze Świrza. To takie małe miasteczko, ale ludzie stamtąd przyjechali razem tu i osiedlili się tutaj w Gierałtowie. Zajęli sobie gospodarstwa, nie duże i prócz tego, że wieźli ze sobą swoje dobytki jakie tam mieli w tym Świrzu, przywieźli ze sobą starodawne swoje piosenki, obyczaj, zwyczaj, jak po weselach muzyki. No, trzeba powiedzieć, przyjechał z nami ksiądz proboszcz, nasz kierownik szkoły, no i kapela nasza przyjechała też tutaj z nami razem. Mamy tutaj dobrych muzykantów, przypuścmy ot - Zazulak Jan, kapelmistrz w tej naszej wsi, gra na skrzypcach, jego syn Zbyszek gra na trąbce, Sawicki Andrzej gra też na skrzypcach, Nakoneczny gra też na skrzypcach, a mamy tutaj nawet takie nasze starodawne cymbały. Takim słynnym cymbalistą jest Komar Józiu. On gra pięknie na cymbałach, bo jego ojciec kiedyś grał i dziadek i on się tak ładnie nauczył, że teraz nam tak pięknie przygrywa. Nawet na weselach gra czasem.

No, ale starzy ludzie są też, przyjechali i śpiewają stare piosenki, bo starzy ludzie najwięcej starych piosenek



Koledzy ze szkolnej ławki
(od lewej): - Antoni Wyspiański,
Jan Zazulak i Franciszek Grün.
Świrz, 13.09.1928 r.

znają. Od nich uczą się nawet i ci młodszy, dziewczęta i chłopcy.

Początkowo to tak wszyscy sobie śpiewali po chałupach, w swoich domach, bo nie mieliśmy świetlicy. Trzy lata temu wyremontowaliśmy świetlicę naszą, gromadzką. Mamy bibliotekę i świetlicę. Do tej świetlicy schodzą się dziewczynki, chłopaki, no i starzy ludzie przychodzą. No, między innymi dziadek stary - Horochowski Piotr - 70 lat, ale przychodzi do świetlicy żeby pośpiewać stare piosenki. No i na fujarcę gra. Jeszcze w dodatku, to pięknie gra. No, przychodzą chłopaki. O, Zborowski Kaziu, jego siostra Zborowska Hela, Aksamitowski Kaziu, Zagórska Hela, Szczepańska Marysia, Krzykliwa Hania. Pełno ich tu przychodzi i śpiewają tutaj i grają.

- Tyle tu zachwalacie, że naprawdę nie wiem, kogo wpierw posłuchać.

- Chyba teraz to nas, my zaśpiewamy. Prawda?

- A no jak macie ochotę, chętnie posłucham. Ale od jakiej piosenki zaczniemy?

- Od weselnej.

- Bardzo dobrze. A czy te piosenki przenieśliście również na tu-tejsze wesela?

- Tak.

- I jakie śpiewacie?

- Dla drużbantów,

- Dla drużbantów to są chyba takie żartobliwe.

- Tak, żartobliwe.

- A posłuchamy.

A nasi drużbowie to są bardzo pyszni,

W pożyczonych spodniach na wesele przyszl.

A nasze drużeczki tak się postawiły,

Że se na wesele suknie pożyczły.

Drużka ja se drużka na całe wesele,

Dał mi pan mi drużby jak majowe ciele.

Nie śpiewaj, nie śpiewaj takim cienkim głosem,

Myślisz, że tyś ładna, a ty z krzywym nosem.

- Dziewczęta, czy znacie jeszcze więcej piosenek weselnych?

- Tak, znamy.



Grupa członków Straży Pożarnej
w Gierałtowie, lata 60. XX wieku.

Siedzą: Jan Zazulak i Stanisława
Zborowska. Stoją (od lewej): Kazimierz
Wrzeszcz, Michał Wrzeszcz
i Kazimierz Szczepański. Zdjęcie
nadesłał p. Mirosław Zborowski.

.....

Dziadek Horochowski, który tu
często przybywa do świetlicy, to do-
piero muzykant. Ma przy sobie taką
małą ligawkę.

- Jak to robiliście te ligawki?

Zapewne na pastwisku, co?

- Tak, na pastwisku.

- No a z czego robiliście je?

- Wziąłem nóż kuchenny i posze-
dłem do krzaka, wyrznąłem taki bez,
wziąłem sobie taki żelazny szpintel
i wyszportalem jądra ze środka, zro-
biłem dwie dziurki, potem po nieja-
kim czasie dwie, potem znowu póź-
niej trzeci dwie i zrobiłem instrument
na sześć dziurek.

- No a czy wiecie, w których miej-
scach trzeba te dziurki wycinać?

- Tak. Bo ja miał od sąsiada taki in-
strument i ja do tego mierzył. I z tego
powodu ja sobie zrobił. I to potem się
zgadzało, że można było grać i tak
grałem 60 lat i teraz proszę posłuchać
moje granie.

.....

- Czy to jest jakaś piosenka?

- Tak.

- A moglibyście to zaśpiewać?

- Mogę.

Hej wedeleczku moje, owieczki moje.

Paście mi się paście, a zawsze we dwoje.

Paście mi się paście, a ja se usiądę,

Na mojej ligawce przygrywać wam będę.



Dyplom uzyskany przez kapelę ludową z Gierałtowa za zajęcie I miejsca w eliminacjach powiatowych. Bolesławiec, 1955 r.
Kopię przekazał p. Stanisław Żółtański.

- Czy znacie więcej piosenek?

- Znam.

Chodzą, chodzą krówki moje po zielonej trawce,

A ja sobie gram wesoło na mojej ligawce.

Już zachodzi jasne słońko, płynął czas pory.

Hejże krówki, hej gwiazdochy dalej do obory.

.....

- Może jeszcze jaką piosenkę śmieszną taką?

Sikora się ocielila za piecem na grzędzie,

Łyse ciele porodziła, kto wie co to będzie.

Leciał zając przy tym tak, przywrócił dzwonice,

Musiał księdzu za to dać marmurowe świce.

- Dziewczęta się tutaj śmieją z tej arcywesołej piosenki, ale na pewno takiej zaśpiewać nie umieją, co?

- A gdzie...

Mamy tu jeszcze jednego solistę Józefa Komara, który jest cymbalistą nad cymbalistami.

- Czy gracie sami na cymbałach, czy też w towarzystwie innego?

- Wspólnie z kapelmistrzem Zazulakiem Janem.

.....

- Czy te cymbały, to samorodny instrument?

- Samorodny.

- To tam budowano, tak?

- Tak jest.

- A pan umie zbudować takie cymbały?

- Tak. Można zrobić świerkowe i można zrobić z gruszy. Ale z gruszy to jest lepszy materiał, bo świerkowe, to jest nie daje tego dźwięku tak, a z gruszy, to jest twardy materiał i bardzo ładnie odbija.

- A ile strun mają cymbały?

- Sto dwadzieścia.

Dziewczęta i chłopcy odstawiają stoły, bo teraz rozpoczną się tańce.

- Jaki będzie pierwszy taniec?

- Ogrodnik.

- Ogrodnik?

.....(zespół tańczy a kapela przygrywa)

Taniec ten trochę przypomina nam śląskiego trojaka. Chłopcy nie tańczą parami, a każdy tancerz ma dwie tancerki.

.....

I jeszcze jeden taniec.

.....

Wam dziewczęta dziękuję za piękne śpiewanie, a wam muzykanci za to granie. A teraz na zakończenie poproszę jeszcze kapelę.

..... [gra kapela]

Red. Na stronie [www: http://hadashot.kiev.ua/content/vasiliy-rasevich-istoriya-ne-instrument-patrioticheskogovospitaniya](http://hadashot.kiev.ua/content/vasiliy-rasevich-istoriya-ne-instrument-patrioticheskogovospitaniya) znajduje się wywiad z ukraińskim historykiem, Wasylem Racewyczem, który przeprowadził Michaił Gold

Historia nie jest narzędziem wychowania patriotycznego (cz. I)

Michał Gold. Przez trzy lata kraj był rozrywany sporami o dekomunizację, a teraz jest ona praktycznie zakończona. Jak bardzo ukraińskie społeczeństwo odzwierciedliło ten proces? Gdzie podzieli się skruszeni sekretarze komitetów rejonowych i obwodowych, oficerowie KGB i liderzy Komsomołu, z których wielu należy do obecnych elit?

Wasył Racewycz - Dekomunizacja okazała się czysto formalnym procesem, polegającym na zmianie nazw ulic i zastąpieniu niektórych pomników innymi. To po prostu nowy etap ideologiczny - niektórzy ludzie w mundurze wojskowym, powiedzmy Watutin, ustąpili miejsca innym, także w mundurze - na przykład Szuchewyczowi. Stanie się tak za każdym razem po zmianie władzy i historycznego paradygmatu.

Czyż nie jest śmieszna idea zakładająca możliwość pozbycia się atawizmu ideologii komunistycznej poprzez zamianę tabliczki z niewygodną nazwą ulicy? Dlaczego tak się boimy z nazwiska „przypomnieć wszystkich, którzy podnieśli rękę”? Czyż nie na tym polega prawdziwe katharsis i podstawowy warunek przemodelowania systemu?

- W 1991 r. nie było zmiany elit - Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka otrzymała po prostu nową nazwę. Cały sowiecki aparat stał się aparatem państwowym Ukrainy, a kierownictwo KGB Ukraińskiej SRR – czyli ludzie walczący z ukraińskim nacjonalizmem - w jedną noc przekształcili się w ukraińskich patriotów. Tak powstał ukraiński rezerwat komunistyczny pod symbolami nacjonalistycznymi. „Czerwoni dyrektorzy” stali się właścicielami „swoich” przedsiębiorstw, tak samo jak, nawiasem mówiąc, i członkowie Komitetu Centralnego, i sekretarze komitetów obwodowych, sprzedający władzę polityczną za realne pieniądze. Generałowie KGB kontrolujący granicę także szybko się wzbogacili - dzięki kontrabandzie i nie tylko. A potem te indywidua zaczęły dorabiać się na „ochronie” biznesu – tak powstała nowa ekonomiczna elita. W rezultacie, nawet w obecnym rządzie, zasiada były sekretarz komitetu Komsomołu Uniwersytetu Lwowskiego - teraz pierwszy wicepremier S. Kubiw, a ministrem gospodarki w rządzie Jaceniuka był pierwszy sekretarz lwowskiego komitetu obwodowego Komsomołu A. Szłapak.



Historyk ukraiński Wasyl Rasewycz.

Szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony A. Turczynow był w swoim czasie szefem wydziału agitacji i propagandy komitetu obwodowego Komsomołu w Dniepropietrowsku, M. Martynenko zajmował stanowisko pierwszego sekretarza komitetu miejskiego LKSMU w Kijowie, i tak dalej, i tak dalej. O jakiej dekomunizacji mówimy? Nie demonizuję w ogólności członków Komsomołu -

w czasach sowieckich aktywny młody człowiek nie mógł wyrazić siebie w ramach innego systemu ideologicznego.

Inną kwestią jest to, czy ci ludzie mają dzisiaj prawo reprezentować elitę narodową. Niedawno byłem na odsłonięciu pomnika ZUNR we Lwowie, gdzie przemawiał Stepan Kubiw - trudno jest wyobrazić sobie większego nacjonalistę. Był tam także Jurij Łucenko, podkreślający, że dopiero w latach nauki we Lwowie poczuł się Ukraińcem. Dopuszczam bez żad-

nych wątpliwości, że tak faktycznie było, ale pamiętamy przecież, jak w 2003 r., stojąc na czele obwodowej organizacji Socjalistycznej Partii Ukrainy, mówił o UPA w Doniecku.

Powinniśmy traktować tych ludzi jak oszustów, manipulujących słowami i historią - ideologia nic dla nich nie znaczy - to tylko krok na drabinie osobistej kariery.

Sugeruje Pan, że sedno całej sprawy tkwi w lustracji, na którą władze nie zdecydowały się przez 27 lat?

- Ona nie zaistniała u nas w żadnej sferze, ze szkolnictwem wyższym włącznie. Dlatego nasi profesorowie, którzy bronili swoich rozpraw doktorskich o komunizmie naukowym lub historii KPZR, szybko stali się akademikami i, zmieniając narrację, zaczęli pisać o historii Ukrainy dokładnie takie same bezwartościowe bzdury. Co gorsza, wychowali w szkolnictwie wyższym całe pokolenie swoich klonów. Nie prowadzimy intelektualnej, a nawet akademickiej dyskusji - nic więc dziwnego, że wektor rozwoju ukraińskiego społeczeństwa determinują obłudni koniunkturaliści i ignoranci. Obserwuję skandal z nowym podręcznikiem do historii dla szkół - to przerażające, ludzie posiadający tytuły naukowe po prostu nie rozumieją, że historia nie może być narzędziem wychowania patriotycznego. Nie odróżniają pamięci historycznej od historii. Pamięć jest zawsze emocjonalna i osobista, natomiast historia jest dyscypliną akademicką. Mieszając te pojęcia i przekształcając je w instrument walki politycznej, zabijemy naukę akademicką.

Nowe państwo potrzebuje nowej historycznej narracji, czy nie tak?

- Tak, ale zbiorowa pamięć tak naprawdę nie istnieje. Każdy region Ukrainy ma swoją pamięć. Wcześniej były to pamięci antagonistyczne, więc jeśli mieszkańcy Doniecka przyjeżdżali do Lwowa, to z reguły tylko potwierdzali swoje stereotypy na temat Galicjan.

Jakie?

- Jako o darmozjadach i nierobach, marnotrawiących życie w kawiarniach i restauracjach, podczas gdy my, „donieccy”, dajemy krajowi węgiel i karmimy tych pasożytów. I nikt im nie wyjaśnił, że dwie trzecie ludzi siedzących w kawiarniach to turyści tacy jak oni - z Doniecka, Charkowa i Zaporozża. Najprostszym sposobem politycznej mobilizacji jest przeciw-

stawienie sobie grup, skonfliktowanie ich. Dlatego w Doniecku straszono banderowcami – kolaborantami Hitlera, którzy zmuszą wszystkich do mówienia „cielęcym językiem” i do oddawania hołdu OUN. Natomiast we Lwowie zapewniono, że na wschodzie mieszkają „niepełnowartościowi Ukraińcy”, dlatego naszą misją jest nauczanie ich prawdziwej historii. Mówiąc, władze sowieckie oszukiwały ich przez długi czas, ale jeśli usłyszą słowo prawdy, staną się prawdziwymi Ukraińcami, takimi jak my. Nie stali się.

A wtedy wszyscy postanowili nie tylko walczyć o elektorat bazowy w swoich regionach, ale także zdobyć Kijów. Przecież tylko ze stolicy można zmusić wszystkich do poruszania się w jedynym prawidłowym, czyli w naszym, kierunku. W ten sposób Juszczenko nadał tytuły Bohatera Ukrainy Banderze i Szuchewyczowi, wierząc, że dyrektywnymi aktami prawnymi można uczynić obowiązującym dla wszystkich jeden wariant historii. Po zwycięstwie w wyborach Janukowycz mianował Dmytra Tabacznika „szefem od historii”, który posunął się jeszcze dalej. Aby zachodni Ukraińcy nie płatali mu się pod nogami, nazwał ich po prostu innym narodem – rusofobiczną nacją, powstałą w wyniku laboratoryjnych eksperymentów Austriaków, Polaków i Niemców.

Cdn.

Wydarzenia wypisane z Dziennika Urzędowego Województwa Tarnopolskiego (cz. I)

Red. W bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego znajdują się egzemplarze Dziennika Urzędowego Województwa Tarnopolskiego z lat 1921-1928. Wszystkie są zeskanowane, dzięki czemu można zapoznać się z niektórymi wydarzeniami związanymi z pow. Przemysły. Dzienniki były wydawane w pierwszym dniu miesiąca. Początkowo (z 1.11.1921 r.) drukowano je u Zukerkandla w Złoczowie, a później u L. Wierzbickiego w Tarnopolu. Nie wypisywałem miejscowości z chorobami zwierząt i zaginionymi żołnierzami narodowości ukraińskiej w czasie I wojny światowej. Zachowałem oryginalną pisownię. Poniżej znajdują się zdarzenia podane w Dzienniku z odpowiednią datą.

1.11.1921 r. Do ludności Województwa Tarnopolskiego! Na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów z 15. maja 1921 r. (...) z dniem 1.09. 1921

Тов. Глобичев-гос. устан. Глобичев!
Тов.

 Тов. Глобичев!

 Есм ховат до в Перемисланат
 з новца устан. Глобичев!

 Перемисланат до Глобичев! з новца
 устан. Глобичев!

 Перемисланат з новца до Глобичев!
 в м. Глобичев. Тов. Глобичев!
 организована устан. в Глобичев! в Перемисланат.
 Перемисланат, 28.9.1939.

 Тов. Глобичев!
 Тов. Глобичев!

List wysłany przez
 inspektora oświaty
 w Przemyślanach
 (28.09.1939 r.),
 Sylwestra Peszko,
 do Osipa Nowickiego,
 mieszkańca Białego
 z propozycją objęcia
 posady nauczycielskiej
 w szkole
 przemysłańskiej.
 Ma on związek
 z zaświadczeniem
 o przyjęciu do pracy
 podanym w zeszycie
 „Spotkania Świrzan”
 nr 146, str. 45.

roku rozpoczęło urzędowanie Województwo w Tarnopolu, którego zakres działania jako władzy polityczno-administracyjnej II instancji rozciąga się na powiaty: 1) Borszczów, 2) Brody, 3) Brzeżany, 4) Buczacz, 5) Czortków, 6) Husiatyn, 7) Kamionka Strumiłłowa, 8) Podhajce, 9) Przemyślan, 10) Radziechów, 11) Skałat, 12) Tarnopol, 13) Trembowla, 14) Zaleszczyki, 15) Zbaraż, 16) Zborów, 17) Złoczów. Ziemie, które tworzą terytorium powierzonego mi Województwa, bezsprzecznie najbardziej od wojny ucierpiały i najdłużej były przez nieprzyjaciela niszczone.

Toteż zapobieganie o odbudowę zniszczonych wsi i miasta, podźwignięcie z upadku przemysłu, utrwalenie bezpieczeństwa publicznego i zapewnienie każdemu swobody wyznania i wolności osobistej po myśli ustawy konstytucji z 17. marca 1921 r. będzie linią wytyczną mego urzędowania. Konstytucja bowiem opiera się o tradycję i historię naukową

Państwa Polskiego - a historia ta wykazuje dowodnie jak wszystkie ludy zamieszkujące Rzeczpospolitą miały jednakie prawa i jednakie swobody. Rząd polski pragnie wszystkich Obywateli Państwa bez różnicy wyznania i narodowości równą otoczyć opieką i dając im jednakie prawa, żądać musi od wszystkich swych obywateli spełnienia ciężących na nich wobec Państwa obowiązków. Tylko w ten sposób ułożony stosunek między obywatelami a Państwem wytworzy wzajemne zaufanie i podstawę do wspólnej pracy. Wojewoda: Olpiński w. r.

Na zasadzie obowiązującego dotychczas w Małopolsce rozp. min. z dnia 10. maja 1867 D. p. p. nr 80 o przepisach odnoszących się do podróży wewnątrz kraju zarządzam co następuje: Każda osoba bez różnicy płci, w wieku wyżej lat 14, podróżująca na obszarze Województwa Tarnopolskiego pieszo, kołowo lub koleją, obowiązana jest posiadać kartę legitymacyjną z fotografią stwierdzającą tożsamość jej osoby i okazać ją na żądanie organów kontrolnych. Karty te wydaje właściwe Starostwo stałego miejsca zamieszkania danej osoby za złożeniem należytości stemplowej 10 Mk. oraz za zwrotem rzeczywistych kosztów druku legitymacji. Legitymacje urzędnicze, kolejowe, paszporty, oraz inne dowody osobiste wystawione przez rządowe władze Polski, wreszcie u słuchaczy publicznych szkół akademickich, legitymacje akademickie, o ile te dokumenty są zaopatrzone w fotografie, zastępują karty legitymacyjne. Osoby spotkane w podróży przez kontrolne organa bezpieczeństwa publicznego bez ważnych dokumentów legitymacyjnych, narażone są na zatrzymanie w podróży aż do czasu należytego wylegitymowania.

1.12.1921 r. Wojewoda zamianował dra Franciszka Zimmermanna prowizorycznym lekarzem powiatowym w IX stopniu służbowym i przeznaczył go do służby w Starostwie w Przemyślanach..

1.03.1922 r. Wojewoda tarnopolski mianował dra Franciszka Zimmermana, prowizorycznego lekarza powiatowego w Przemyślanach z IX stopnia służbowego na VIII stopień służbowy.

1.06.1922 r. Lista znawców dla oszacowania przedmiotów mogących ulec wywłaszczeniu na rzecz kolei i do oznaczenia wynagrodzenia za wywłaszczanie praw wodnych w okręgu lwowskiego Sądu Apelacyjnego na rok 1922 w powiecie Przemyślan: Z zawodu gospodarstwa wiejskiego - Jan Zeitleben, właściciel dóbr Żędownice; z zawodu leśnictwa - Kazimierz Charzewski, zarządca lasów Wypyski; z zawodu budownictwa i inżynierii - Władysław Wisłouch, kierownik powiatowego biura odbudowy w Prze-

myślanach; z zawodu fabrykantów - Henryk Pohoryles, inżynier, właściciel tartaku w Przemyslanach; dla wywłaszczeń praw i budowli wodnych - Władysław Zamorski, inżynier wydziału powiatowego w Przemyslanach.

1.07.1922 r. Wojewoda tarnopolski mianował Juliana Dutkę, komisarza powiatowego w Przemyslanach, na VIII stopień służbowy.

1.08.1922 r. Wojewoda tarnopolski mianował oficjanta kancelaryjnego Józefa Przyszłakowskiego z Przemyslan na XI stopień służbowy.

1.03.1923 r. Wojewoda tarnopolski ustalił Józefowi Kolańskiemu i Eugenii Dobrzańskiej XII st. służbowy. [*Oboje z Przemyslan - dop. J.W.*].

1.06.1923 r. Urzędnik conceptowy z Przemyslan, Aleksander Skałkowski, został mianowany przez wojewodę tarnopolskiego na VIII stopień służbowy.

Z dniem 4 lutego 1923 przemieniono agencję pocztową w Wojciechowicach powiat Przemyslański na składnicę pocztową o zwykłym zakresie działania. Z tego powodu przydziela się gminy i obszary dworskie: Wojciechowice, Dobrzańca, Tucze i Żędowice, dalej gminę Ostasłowice i przysiółek Prybeń do zamiejscowego okręgu doręczeń urzędu pocztowego w Janczynie.

1.07.1923 r. Na wniosek wojewody zostały przyznane subwencje: Ochronie Polskiej w Dunajowie 200.000 Mk, Ochronie Ukraińskiej w Uniowie 100.000 i Ochronie Ukraińskiej w Słowicie 100.000.

1.08.1923 r. Elżbiecie Procał, ur. w r.1868 w Świrzu pow. Przemyslański, córce Marcina i Marii, skradziono we Lwowie dnia 15 czerwca 1923 portfel z dowodem osobistym, wystawionym przez Starostwo w Przemysla-



Bolesław Kopociński.
Taneczna Matka Boska, obraz olejny.

nach. Osobę legitymującą się skradzionym dowodem osobistym należy oddać Policji Państwowej.

1.09.1923 r. Celestyna Świrat, wdowa z Przemyślan donosi, że córka jej Julia urodzona w roku 1882 zabrawszy większą gotówkę z domu wyjechała z Przemyślan przypuszczalnie w kierunku Poznania w towarzystwie Jana Sadowskiego urodzonego 1882 r. Różanie powiat Maków w województwie warszawskim, w celu nabycia odpowiedniej realności za zabrane pieniądze. Ponieważ Julia Świrat, która pozostawiła tu 8-letnią nieślubną córkę bez żadnego zaopatrzenia, po nią się nie zgłasza ani nie daje znaku życia o sobie, stroskana matka zaginionej córki prosi o jej wyśledzenie i zniewolenie do powrotu, oraz zawiadomienie Starostwa o wyniku.

1.05.1924 r. Jednostką monetarną nowej waluty Rzeczypospolitej Polskiej jest złoty zawierający dziewięć trzydziestych pierwszych części grama czystego złota. Złoty dzieli się na sto (100) groszy. Wybijane będą monety: 1) złote: po sto, po pięćdziesiąt, po dwadzieścia i dziesięć złotych; 2) srebrne: po pięć, po dwa, jeden i pół złotego; 3) niklowe: po dwadzieścia i dziesięć groszy; 4) brązowe: po pięć, dwa i jednym groszu. Relację marki polskiej do złotego, jako jednostki monetarnej Rzeczypospolitej Polskiej, ustala się w wysokości 1.800.000 Mkp. [marek polskich] za 1 złotego. (Wybrał J.W.) Cdn.

Józef Wyspiański

Deportacje Polaków z pow. przemysłańskiego (cz. XV)

Na stronie www.osa.archiwa.org.pl znajduje się skrót wspomnień Wandy Chytróń (ur. 1926); Ząbek (z d. Chytróń) i Marii (ur. 1928), mieszanek Zasiecznej, osady leżącej na zachód od Zadwórze, które wraz z matką zostały deportowane 10.02.1940 r. do obwodu irkuckiego, rejon Niżnieudinsk. W tekście nie ma informacji o innych członkach rodziny. *Od marca 1940 pobyt w posiołku Kadujka, praca przy zbiorze żywicy. W 1941 nieudana próba wyjazdu do armii Andersa; praca w fabryce kalafonii i terpentyny w Kamyszece (rej. Tajszet) i w pobliskim kołchozie (1942). Od kwietnia 1943 pobyt w Atagaju, w posiołku Krasiwaja Jelań. Aresztowanie i wyrok 11.08.1943; pobyt w więzieniu w m. Tułun za nielegalną zmianę*

miejsca pracy. Zwolnienie z obozu 11.12.1943, powrót do Atagaja, praca w okolicznych kołchozach, śmierć matki. Od maja 1945 pobyt w m. Ust'-Kadujka; zmniejszenie zarobku dziennego i przydziału chleba za uchylanie się od pracy. Od jesieni 1945 do marca 1946 praca na budowie nowego posiołka. Repatriacja 17.04.1946.

Krzysztof Prask podał (www.ogrodywspomnien.pl) zwięzłą informację o jego przodkach: *Dziadek Grzegorz Stecyszyn ur. 18. 10. 1889 w Przemyślanach syn Walentego i Anastazji, ojciec Karola zmarłego w Argentynie (Karol przeszedł szlak wojenny z Andersem) i córki Krystyny wywiezionej w wieku 13 lat z mamą Eugenią na Syberię, gdzie mama zmarła i została wyrzucona z pociągu. Krystyna zmarła w Jeleniej Górze w 1990 r.*

Grzegorz Stecyszyn urodził się w Majdanie Lipowieckim, był policjantem (starszy posterunkowy) i został aresztowany w październiku 1939 r. i wywieziony a następnie rozstrzelany w Bykowni (Ukraina). Pozostałych członków rodziny zapewne deportowano w kwietniu 1940 r.

Redakcyjna lista osób wywiezionych na Sybir wzrosła do 782.

Red. Na portalu www.kresy.pl znajduje się interesująca analiza postaw Ukraińców w kontekście ich obecności w Polsce. Dziękujemy redakcji portalu za zgodę na przedruk tekstu.

Marcin Skalski

Ukraińcy - czy na pewno bliscy kulturowo? (cz. I)

Problem integracji bądź asymilacji Ukraińców w Polsce stanął na porządku dziennym w ciągu ostatnich kilku lat, szczególnie po przejęciu władzy przez PiS. To właśnie od momentu objęcia niepodzielnych rządów przez „Dobrą Zmianę” Polska stała się krajem wieloetnicznym, choć jeszcze nie widać tego na pierwszy rzut oka w polskich miastach. Zasadnicza część imigrantów, których przyjazdy i pobyt w naszym kraju przybrały już skalę masową, pochodzi bowiem z Ukrainy i innych krajów byłego ZSRR. Zewnętrznie na ogół nie różnią się oni od Polaków.

Propaganda kontra fakty

Tymczasem łatwa i bezproblemowa jakoby asymilacja Ukraińców

w polskim społeczeństwie jest uzasadniana głównie w oparciu o wyobrażenia na temat narodu ukraińskiego u lokalnych publicystów, liderów opinii czy lobbystów wielkiego biznesu potrzebujących taniej siły roboczej. Podstawowym założeniem jest bliskość kulturowa, jaka łączyć ma nas z Ukraińcami. Jak się okaże, jest to mit, będący wynikiem z jednej strony dość protekcjonalnego traktowania Ukraińców jako zbiorowości bez wykształconej rzekomo świadomości narodowej (dla której dobrowolna polonizacja ma być jakoby bezalternatywnym środkiem do modernizacji), z drugiej strony, następuje pomylenie bliskości językowej z bliskością kulturową, które nie są wszak ze sobą tożsame. Przykładem tego typu żywnionych złudzeń może być wypowiedź K. Inglota, prezesa agencji zatrudnienia Personel Service, który stwierdził: „Ukraińcy [...] są nam bliscy kulturowo i dobrze się czują w naszym kraju. Zachęcanie ich do pozostawania u nas dłużej jest korzystne także z perspektywy polskiego rynku pracy” [1].

O „bliskości kulturowej” Polaków z Ukraińcami mówił także między innymi premier Morawiecki w 2017 roku [2]. Podobną tezę wygłosił



Kapliczka dla
wyznawców
grekokatolickich
w Kimirzu.
Fot Adam Groblewski.

liberalny publicysta Ł. Warzecha, który „bliskich kulturowo” Ukraińców przeciwstawił pakistańskim imigrantom w Polsce [3]. Jak się okaże, jest to spłykanie opisu rzeczzonego zjawiska poprzez porównywanie Ukraińców do imigrantów z krajów azjatyckich i islamskich.

Szczegółnej bliskości kulturowej nie odczuwają jednak z Ukrai-

ńcami sami Polacy. Jak wykazują badania przeprowadzone w kwietniu 2020 roku przez Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, Ukraińcy plasują się w samym środku stawki spośród wszystkich sąsiadujących z Polską narodów pod względem upatrywania w nich biskości kulturowej. Ukraińcy są na czwartym miejscu, po Czechach, Słowakach i Litwinach, za to przed Białorusinami, Niemcami i Rosjanami [4]. Wprawdzie jeszcze w badaniu z września 2016 roku 51% respondentów było w stanie zgodzić się z tezą, że Ukraińcy są bliscy kulturowo Polakom, jednak wyniki te należy rozpatrywać w szerszym kontekście. Spośród wszystkich grup uwzględnionych w badaniu mniejsze poczucie wspólnoty respondenci wykazywali bowiem jedynie wobec egzotycznych Wietnamczyków, Afrykanów i Arabów, zaś większe wobec mieszkańców Europy Zachodniej (67%) oraz Amerykanów wraz z Kanadyjczykami (52%) [5].

Z kolei polscy autorzy badania przeprowadzonego pod koniec 2016 roku na Ukrainie wskazują - co nie jest zaskoczeniem - na większą dostępność na Ukrainie kultury rosyjskiej, niż polskiej. Badacze podkreślili ponadto znaczenie faktu, że dla znacznej części Ukraińców język rosyjski jest w takim samym stopniu językiem ojczystym jak ukraiński [6]. Warto również zwrócić uwagę na fakt znajdowania się zdecydowanej części ukraińskiego społeczeństwa przynajmniej pod kulturowym wpływem prawosławia, co z kolei jest czynnikiem naturalnie odróżniającym Polaków od większości Ukraińców. Wagę czynnika religijnego zauważa ukraińska autorka N. Nedobiiichuk, która konstatuje za cytowanym przezeń polskim badaczem: „Duży wpływ na kształtowanie się relacji pomiędzy polskimi a ukraińskimi społecznościami odegrał czynnik religijny. Większość Ukraińców była wyznania prawosławnego bądź grekokatolickiego, Polacy z reguły - rzymskokatolickiego, co doprowadziło do oddalenia się tych społeczności” [7].

Cywilizacyjne pęknięcie

Ponadto, co również z oczywistych względów jest trudne do przecenienia dla polsko-ukraińskich stosunków międzyludzkich, *w społeczeństwie ukraińskim występuje silna tendencja do łączenia interpretacji wydarzeń z przeszłości z teraźniejszością* [8]. Co istotne, wśród Ukraińców Polska zajmuje drugie miejsce, spośród dziesięciu państw, wskazanych respondentom w przywoływanym badaniu z 2016 roku, w stosunkach z którymi historia jest uznawana za ważną. Na pierwszym miejscu znalazła się

z kolei Rosja (33% bardzo ważna, 37% ważna, dla Polski odpowiednio 23% i 44%) [10]. Na problem ciążenia historii na wzajemnych stosunkach zwracała już w 2016 roku J. Konieczna-Salamatin. Według badaczki głównym punktem spornym jest „antypolska akcja [sic! – M.S.] OUN-UPA”, zaś spory o historię będą rzutować na wzajemne postawy Polaków i Ukraińców [10].

Jaskrawo i wyjątkowo jednoznacznie wyłożył różnice cywilizacyjne między Polakami a Ukraińcami, które mają powodować niemożność porozumienia w kwestiach historycznych, O. Leszczak - badacz z Uniwersytetu J. Kochanowskiego w Kielcach. Jak możemy przeczytać: „Europeizm ukraiński ma charakter raczej trybalistyczny („ludowy”) lub trybalistycznoturański („radykałno-rewolucyjny”). Stąd większość nieporozumień dyskursywnych pomiędzy polską i ukraińską inteligencją. Kiedy Polak mówi „Polska”, „Polacy”, ma na myśli państwo i układ korporacyjny z całą jego otoczką tradycyjną - królami, szlachtą, Kościołem i wysoką kulturą elitarną. Kiedy Ukraińiec mówi „Ukraina”, „Ukraińcy”, ma na myśli albo kraj jako przestrzeń wraz z ludnością (głównie wiejską) oraz jej tradycją folklorystyczną, albo współczesne problemy polityczno-bytowe bez jakiegokolwiek związku z przeszłością. Mówiąc „przeszłość”, „historia”, „dzieje”, Polak odwołuje się albo do świetności panowania Rzeczypospolitej, albo do wzniosłej martyrologii narodowej. Kiedy Ukraińiec mówi to samo, czuje albo upokorzenie niewolnictwa, albo uniesienie rebelianta, który wreszcie zrzucił kajdany i dał odsiecz swemu gnębielowi. Zatem każda próba polsko-ukraińskiego dialogu narodowo-historycznego jest z góry skazana na niepowodzenie” [11].

Kiedy Polak mówi „Polska”, „Polacy”, ma na myśli państwo i układ korporacyjny z całą jego otoczką tradycyjną - królami, szlachtą, Kościołem i wysoką kulturą elitarną. Kiedy Ukraińiec mówi „Ukraina”, „Ukraińcy”, ma na myśli albo kraj jako przestrzeń wraz z ludnością (głównie wiejską) oraz jej tradycją folklorystyczną, albo współczesne problemy polityczno-bytowe bez jakiegokolwiek związku z przeszłością. Mówiąc „przeszłość”, „historia”, „dzieje”, Polak odwołuje się albo do świetności panowania Rzeczypospolitej, albo do wzniosłej martyrologii narodowej. Kiedy Ukraińiec mówi to samo, czuje albo upokorzenie niewolnictwa, albo uniesienie rebelianta, który wreszcie zrzucił kajdany i dał odsiecz swemu gnębielowi. Zatem każda próba polsko-ukraińskiego dialogu narodowo-historycznego jest z góry skazana na niepowodzenie” [11].

Ponadto, autor wspomina o turanizmie jako „głównej subdominancie cywilizacyjnej” Ukraińców oraz o *specyficznym wśród elit i w klasie średniej quasi-trybalizmie w nizinach*. Badacz upatruje w tych zjawis-



Niszczyjący kościół w Zadwórzu.
Fot. Adam Groblewski.

kach źródeł znaczącej skali korupcji „na górze” oraz majdanów organizowanych przez dolne warstwy [12]. Z kolei u Polaków *dominuje bizantynizm elitarny w wersji feudalnej (korporacjonizm), a subdominantami są latynizm, turanizm (sarmatyzm) wśród elit i w klasie średniej oraz quasi-trybalizm w nizinach (zwłaszcza na wsi)* [13].

Powyższe jest o tyle istotne, gdyż - jak wskazuje cytowany badacz - *profilowanie kulturowo-cywilizacyjne ma bezpośrednie przełożenie na rozpatrywany tutaj problem etnokulturowej wizji stosunków polsko-ukraińskich* [14]. Warty podkreślenia jest przy tym, zaznaczany przez O. Leszcza, problem odmiennej kultury politycznej wśród naszych narodów. Na znacząco różne doświadczenia historyczne formułujące treść przeżywanej tożsamości narodowej między Polakami a (między innymi) Ukraińcami zwraca tymczasem uwagę Ryszard Radzik. Socjolog twierdzi, iż Polacy w swych narodowych odniesieniach - mimo przeważnie chłopskiego czy robotniczego pochodzenia - pozostają szlachcicami, z kolei wśród prawosławnych społeczności Europy Wschodniej tego typu uczestnictwo klas niższych w przeżywaniu tożsamości ukształtowanej przez doświadczenie elit nie jest zjawiskiem tak bardzo charakterystycznym [15].

Cdn.

[1] Jakie motywy kierują Ukraińcami przyjeżdżającymi do Polski?

[2] Morawiecki: Kluczowe jest przełamanie „imposybilizmu”.

[3] <https://twitter.com/lwarzecha/status/1010751213535662080>.

[4] Grzegorz Sygnowski, Łukasz Mazurkiewicz, *Polska-Rosja, diagnoza społeczna* 2020. Polacy na temat Rosji i Rosjan oraz stosunków polsko-rosyjskich, Warszawa 2020, s. 13.

[5] Badanie na temat postaw wobec cudzoziemców w Polsce, Warszawa 2016, s. 6.

[6] Tomasz Stryjek, Joanna Konieczna-Sałamatin, Kamila Zacharuk, *Ukraińcy o historii, kulturze i stosunkach polsko-ukraińskich. Raport z badania ilościowego i jakościowego*, Warszawa 2017, s. 105.

[7] M. Popławski, *Stereotypy i postawy Polaków wobec siebie i sąsiednich nacji*, [w:] J. Jarco, G. Dolińska, *Polskie stereotypy i uprzedzenia*, Wrocław 2002, s. 103-104., za: N. Nedobiichuk, *Polacy i Ukraińcy we wzajemnych profilach stereotypowej percepcji*, [w:] *Imigranci z Ukrainy w Polsce. Potrzeby i oczekiwania, reakcje społeczne, wyzwania dla bezpieczeństwa* pod red. Michała Lubicz Miszewskiego, Wrocław 2018, s. 22-23.

[8] Tomasz Stryjek, Joanna Konieczna-Sałamatin, Kamila Zacharuk, *dz. cyt.*, s. 110.

[9] Tamże, s. 8.

[10] Joanna Konieczna-Sałamatin, *Kontakty polsko-ukraińskie a zmiany wzajemnego postrzegania Polaków i Ukraińców*, [w:] „Państwo i Społeczeństwo”, 2016 (XVI) nr 1, s. 96.

[11] Oleg Leszczak, *Polska i Polacy we współczesnym ukraińskim etnicznym obrazie świata*. Część I: Ogląd struktury kulturowo-cywilizacyjnej, [w:] „Przegląd Wschodnio-europejski”, s. 236.

[12] Tamże, s. 233.

[13] Tamże, s. 232.

[14] Tamże, s. 233.

[15] Ryszard Radzik, *Polacy a Słowianie wschodni: społeczne uwarunkowania formowania się cech tożsamościowo-mentalnych*, [w:] *Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio I*, vol. XLIII, Lublin 2018, s. 22.

Red. „Deklaracja....” była zbiorem 111 tomów opracowanych w Polsce i dostarczonych do Białego Domu z zamiarem uczczenia 150. rocznicy Deklaracji Niepodległości, ale również podziękowanie za niesioną pomoc głodującym polskim dzieciom po zakończeniu I wojny światowej. Podpisy złożono w 1926 r.

Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych” - ze szkoły w Wyznianach, Zadwórz, Zamościu i Żędowicach

Wyzniani - szkoła trzyklasowa. Opiekun - ks. Jan Pękalski, kierownik - Stanisław Wyjatek, opiekun - Jan Koneczny.

Kl. IV: Chomiak Władysław, Dydek Władysław, Dzierdziejowska Antonina, Dzierdziejowski Piotr, Działuk Katarzyna, Horboczna Stefania, Juzwa Jan, Kindrat Olga, Kret Helena, Marciniak Antoni, Marciniak Stefania, Martyniak Julia, Mazur Michalina, Niedzielska Bronisława, Pater Olga, Rutowicz Olga, Sydor Anna, Sytnyk Katarzyna, Szmid Maria, Sztohrzyn Michalina, Włoch Jan, Wyszyńska Anna.

Kl. III: Bobko Zofia, Bundza Grzegorz, Chomiak Adam, Chomiak Grzegorz, Chomiak Roman, Ciepły Jan, Daniłów Stanisław, Dydek Kajetan, Dziba Mikołaj, Działuk Franciszek, Hyrka Antonina, Kutna Maria, Kutny Roman, Łaba Zofia, Marciniak Józef, Martyniak Grzegorz, Mota Piotr, Oribka Zofia, Pater Michał, Pociórko Piotr, Sobeczko Walenty, Stadnik Stefan, Szumańska Tekla, Zając Bronisława, Zając Michał, Zając Zofia.

Kl. II: Chomiak Magdalena, Chomyszyn Stefan, Dziba Anna, Goj Roman, Goj Tacjana, Hatała Franciszek, Hyrka Zofia, Kinasz Zofia, Kindrat Roman, Korejba Alojzy, Krochmalna Michalina, Kutny Roman, Marciniak Maria, Martyniak Grzegorz, Mazur Piotr, Nycz Michał, Ostrowska Stefania, Ożga Stanisław, Pater Grzegorz, Pociurko Jan, Prystajko Władysław, Rutowicz Józef, Sobeczko Michał, Sypa Helena, Szmid Andrzej, Szymański Jan, Wojewódka Jan, Wojewódka Rozalia, Wszyńska Bronisława.

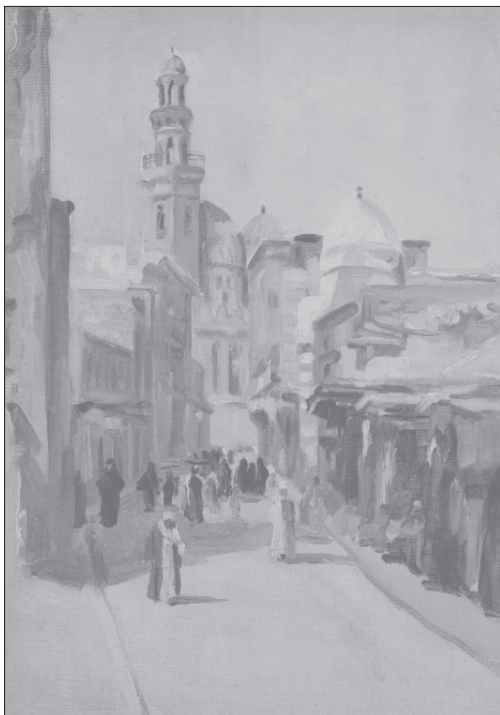
Kl. I: Czarkowski Konstanty, Dziba Stefan, Dzierdziejowski Stanisław, Goj Włodzimierz, Ira Stefania, Jabłońska Stefania, Jezierańska Zofia, Marciniak Michał, Markiewicz Florian, Niedzielski Emilian, Nycz Paweł, Pater Anna, Pater Jan, Pater Stefania, Pociurko Stefan, Procyszyn Zofia, Sobeczko Michał, Sobeczko Tekla, Sypa Stefan, Szmider Estera, Szymański Michał (Teodory), Szymański Michał, Urbański Władysław, Władyka Stefania.

Zadwórze - szkoła pięcioklasowa. Opiekun - ks. Michał Zaremba, kierownik - Leonard Dunicz, opiekun - Jan Koneczny.

Andruszka Włodzimierz, Antonów Stanisław, Baczula Jan, Balant Anna, Balant Piotr, Banach Aleksander, Basarat Stefania, Bąk Roman, Biłyk Julia, Biłyk Katarzyna, Boczarowski Adolf, Boczarowski Władysław, Burakówna Helena, Czajka Melania, Czyż Piotr, Didyk Włodzimierz, Didyk Zofia, Dmytruk Tekla, Gawrońska Anna, Gawrońska Katarzyna, Gawroński Aleksander, Gawroński Piotr, Gojniez Stefania, Hajłasz Michał, Hryciw Bazyli, Iwanusa Maria, Iwanusa Michał, Iwaszków Anna, Jajko Anna, Karpin Michał, Karpin Stefania, Karpinówna Anna, Kołtun Aleksander, Kołtun Helena, Kołtun Stefan, Kościuk Janina, Kot Stefan, Kowalczuk Władysław, Kraczkowska Anna, Kraczkowska Maria, Kraczkowski Kazimierz, Kraczkowski Piotr, Kraczkowski Stefan, Kraczkowski Władysław, Laska Salomea, Laska Stefania, Leško Stefania, Lis Józef, Lis Stanisław, Lis Stefan, Lisowska Anna, Maciuch Aleksandra, Moszczakówna Henryka, Mychajluk Paweł, Narepcha Aniela, Olijnik

Mikołaj, Panek Dominik, Paramuszcak Anna, Paramuszcak Jan, Pawłyszyn Paweł, Perepleś Anna, Pic Stefan, Picówna Maria, Pieciorak Michał, Plasnarowicz Antoni, Plesnarowicz Zofia, Poluszyńska Adela, Poluszyńska Paulina, Poluszyńska Stefania, Pryszlak Emilia, Pryszlak Piotr, Rokidańczuk Maria, Rutkowska Irena, Rutkowski Józef, Sawczyn Paulina, Sawczyn Urszula, Schellerówna Jadwiga, Semkijasz Stefania, Seniw Włodzimierz, Sikorska Matylda, Sondaj Ludwik, Speiser Józef, Stężka Helena, Stężna Joanna, Stingl Janina, Sudczak Jan, Sudczak Maria, Sudczak Stanisława, Sygiła Maria, Szałamacha Filip, Sztybel Piotr, Szymański Józef, Szymański Włodzimierz, Tennenbaum Hila-

ry, Tobiasiewicz Stanisława, Tomaszewska Michalina, Tymczyszyn Teodor, Tymczyszyn Zofia, Udud Bazyli, Wade Anna, Wendling Jan, Wiernicki Adolf, Właśniowski Stanisław, Właśniowski Władysław, Wolnik Edward, Wolsza Stefania, Żuk Włodzimierz, Żurek Franciszek (nauczyciele: Elżbieta Porębska, Hermina ..., Zofia ..., Bronisława Skuliczówna).



Irena Lamezan-Salins, Miejscowość Haluan w Egipcie, marzec-maj 1930. Zdjęcie pobrano z katalogu pt. Zamek w Świrzu.

Zamoście - szkoła jednoklasowa. Opiekun - Wanda Fedczyszynowa, kierownik Teodor Fedczyszyn, inspektor - J. Koneczny.

Antonów Malwina, Bodaj Jarosława, Bodaj Stanisława, Bosa Katarzyna, Czarkowski Michał, Czarkowski Mikołaj, Czarkowski Ołeksza, Gronostalska Michalina, Kebatówna Oksana, Kociołek Maria, Kulicki Jarosław, Kwiatkowska Olga, Kwiatkowska Sydonia, Kwiatkowska Sydonia,

Kwiatkowski Kazimierz, Leist Estera, Obrębalska Eugenia, Obrębalska Katarzyna, Olejnik Helena, Pastuszczak Zygmunt, Pichurko Michał, Sachman Teodor, Seminowicz Sydonia, Sendega Maria, Sendega Michał, Siokał Katarzyna, Siokał Wasyl, Sotni Stefania, Sotnik Jarosław, Sotnik Jarosława, Sotnik Maria, Sotnik Wasyl, Szurko Paraskewia, Winiarski Kazimierz, Zmórko Natalia.

Żędowice - szkoła jednoklasowa. Opiekun - Cecylia Laszkówna, kierownik - Cecylia Laszkówna, inspektor - Jan Koneczny.

Balicka Melania, Balicka Paulina, Balicki Michał, Bałahura Jan, Biłyk Paulina, Błaszczyn Anna, Błaszczyn Maria, Błaszczyszyn Jan, Bordon Maria, Bordun Mikołaj, Fil Mikołaj, Gryga Andrzej, Gryga Anna, Hołowaty Michał, Hołowaty Teodor, Jaremczuk Julia, Jaremczuk Tekla, Karpa Ahapia, Kohut Anna, Kordecka Eudokia, Korol Andrzej, Korol Grzegorz, Korol Jan, Kubiszyn Katarzyna, Kubiszyn Katarzyna, Kubiszyn Maria, Lis Michał, Medwid Grzegorz, Medwid Wasyl, Mizio Józef, Mizio Wanda, Nagler Chana, Nartowska Tolmira, Olejnik Anastazja, Ostrowska Anna, Ostrowski Jan, Podleśny Mikołaj, Rachman Anna, Rachman Mikołaj, Regeda Paulina, Regieda Eudokia, Rura Michał, Sira Anna, Sira Maria, Sira Paulina, Siry Mikołaj, Skalski Franciszek, Szarabura Anna, Szarabura Jan, Szczerbata Eudokia, Szczerbaty Antoni, Szczerbaty Grzegorz, Szymańska Antonina, Tracz Michał, Wasyliszyn Aleksander, Winnicka Anna, Winnicka Józefa, Winnicki Mikołaj, Żowtiuch Mikołaj.

Red. W czasopiśmie „Hasło Podwawelskie” nr 42, str. 6, z 18.10.1931 r. znajduje się, pośród wielu innych, wyjątkowy tekst o wyraźnym wydźwięku antyżydowskim. Jest przykładem antysemitkiej nagonki w prasie prawniczej i katolickiej.

Cześć zwycięzcom Judasza!

Idea odżyczenia kraju przenika coraz szersze warstwy społeczeństwa, które zrozumiało, że Żyd jest największym jego wrogiem i rozsądnikiem wszelakiego zła. Zrozumienie to, po największej części ujawnia się wśród ludu wiejskiego, dla którego Żyd był zawsze największym szkodnikiem. W powiecie przemysłańskim znajduje się wioska Ładańce.

Ciekawa to miejscowość, gdzie Żyd nie jest główną osobą, ba,

wolnym jest od niego nawet... handel. Jakże to się stało? Kiedy przed pięciu laty rzucono hasło bojkotu Żydów, ludność tutejsza zaczęła stronić od Żydów. Dziś piękne są tego owoce, Żydów zewsząd wyrugowano, handel spoczywa już wyłącznie w ręku chrześcijan a Żyd zepchnięty został z dotąd zajmowanych placówek.

W pocie czoła pracuje na roli, chodzi za pługiem, sieje i prowadzi całą gospodarkę. Samorzutność katolików doszła do tego stopnia, że założono spółkę mleczarską a Żyd pasie bydło i dostarcza mleka aby zarobić na czarny kawałek chleba. Ciekawe to, tym bardziej, że chytróść żydowska została pokonana - a triumfuje... wieśniak. Nie do wiary a jednak prawdziwe. Żyd stanął w roli sługi - poddanego rolnika.

Często można być świadkiem, jak Żydzi przychodzą do miejscowej „Kasy Stefczyka” i żebrzą o pożyczkę im grosza, gdyż z gospodarką jakoś nie mogą sobie dać rady. To nie handel! Tak to ludność miejscowa, konsekwentna w swych dążeniach pozbyła się żydowskiego pasożyta.

Niestety. Ładańce są jakby wyspą wśród morza potopu żydowskiego. Okoliczne wsie i miasteczka zalane są żydostwem panoszącym się wszędzie z właściwą tej rasie bezczelnością i arogancją. Czyż piękny przykład Ładaniec, gdzie wiara Chrystusowa zwyciężyła największego swego wroga Żyda, nie znajdzie oddźwięku w całej okolicy? Czas najwyższy obudzić się z martwoty, zabrać się do pracy realnej i powiedzieć sobie: my chcemy sami pracować, a z Żydem precz! (Kedlo)

Listy do redakcji

Szanowny Panie Józefie.

Dziękuję bardzo za przekazany materiał. Sam Pan wie, że każda szczypta jest przydatna. Najwięcej starych dokumentów dotyczących Wicynia pochodzi z okresu gdy gmina walczyła o kościół i księdza w Wicyniu. Zamieszczam kolejne posiadane dokumenty z opisami na naszym koncie Facebook. Na ten moment jestem w roku 1890 ale potem będzie przeskok już w XX wiek i potwierdzenie informacji o ks. Furmaniku przyda się

bardzo. Pozdrawiam,

Andrzej Krupa

[illegible]

Szanowny Panie,

Miło mi poinformować Pana, iż jest zgoda Prezesa Radia Wrocław na Pańska prośbę o wykorzystanie naszej audycji. Prosimy tylko, aby Pan zamieścił informację o pochodzenie tekstu audycji. Pozdrawiam

Joanna Mirocka

[illegible]

Szanowny Panie Józefie,
zezwalamy na przedruk tekstu M.
Skalskiego, prosimy o podanie źródła
i autora. Jednocześnie dziękuję w i-

+++++

W latach 30. XX wieku w pow. Przemyślany były 64 majątki ziemskie. Niektóre z nich (Zamek, Ostrowiec, Mencina, Tury, Czeremosznia), może ze względu na niewielki areal nie można przypisać do znanej nazwy gminy (wioski). Nie wiadomo również, czy majątki tuż przed wojną nie zmieniły właściciela.

Po zmianach politycznych 1989 r. w państwach postkomunistycznych Europy Środkowej zostały wprowadzone ustawy reprivatyzacyjne, które w rozmaity sposób rekompensowały straty prawowitym właścicielom, jakie ponieśli oni w wyniku wywłaszczenia po II wojnie światowej. W Polsce środowisko ziemiańskie do dziś oczekuje na wprowadzenie podobnych regulacji prawnych. Jak na razie, takich aktów nie ma.

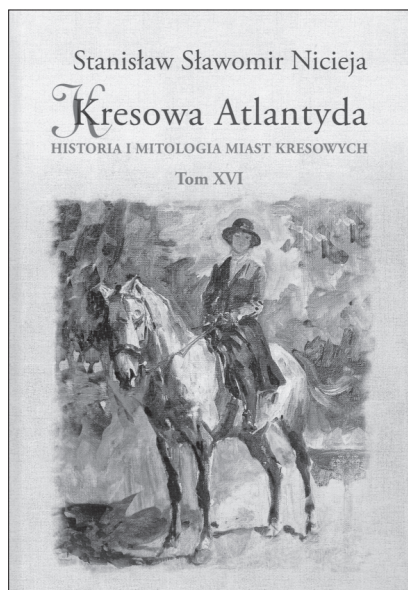
Nazwiska właścicieli: Adamowicz Konstanty - Turkocin, Baum Ged. - Chlebowice Świrskie, Beck Mieczysław - Błotnia, Biesiadecki Franciszek - Korzelice, Bogdan Józef - Połonice, Bogdanowicz Cecylia - Bogdanówka, Bohdan A. - Zadwórze, Brubacher Piotr - Zamek, Czerkowscy bracia - Meryszczów, Damczan Irena - Kopań, Duschek Sydonia - Podwysokie, Dziewiałowski Stanisław - Chlebowice Świrskie, Freter Stanisław - Laszki Królewskie, Gerstman Jan - Połtew, Gerstman Zygmunt - Ostrowiec, Haczewski Karol - Po-

luchów Mały, Hahn Jakub - Brzuchowice, Hołubowicz Stefan - Pletenice, Karasiński Rom. - Podusilna, Kędziński Stanisław - Meryszczów, Kohl Adam - Mencina, Lamezan Salins Robert - Świerz, Lang Włodzimierz - Tury, Łucki Michał - Janczyn, Łucki Włodzimierz - Janczyn, Machner Jan - Poluchów Mały, Małkowska Marta - Majdan Lipowiecki, Müller Piotr - Baczów, Nagelberg Leon - Podusilna, Nartowski Stanisław - Żędowice, Neuman Estera - Łonie, Niesiołowski Jan - Lipowce, Nowak Karol - Błotnia, Nowosielski Czesław - Chlebowice Świrskie, Olszowski Wiktor - Czeremosznia, Lipowczyk, Piasecki Franciszek - Nowosiółka, Potocki Alfred - Brykoń, Ciemieżyńce, Hanaczówka, Kurowice, Przemyślany, Rozworzany, Sołowa, Wołków, Wyżniany, Potulicka Franciszka - Gliniany, Zamoście, Schacht Markus - Dusanów, Serles Leon - Łonie, Sopotnicki Adam - Wiśniowczyk, Starzyński Leopold - Tucza, Tchórznicki Władysław - Pohorylce, Stanimirz, Traczewski Stefan - Krzywice, Słowita, Tyszkowski Adam - Chlebowice Świrskie, Tyzenhaus Roman - Kimirz, Weretczuk Zygmunt - Korzelice, Wirk Tadeusz - Hanaczówka, Wolpel Jerzy - Łonie, Wybranowski Ignacy - Czupernosów, Wybranowski Stanisław - Kimirz, Uszkowice.

+++++

W kwietniu ukazał się XVI tom

Kresowej Atlantydy prof. Stanisława S. Nicieja, piewcy Kresów Południowo-Wschodnich. Jest to kolejna książka o historii i mitologii miast kresowych, a przede wszystkim o ludziach mających tam rodzinne korzenie. Ostatnio wydana pozycja zawiera zarysy historii miejscowości i losy mieszkańców związane z Bolechowem (miastem garbarzy i leśników), Świrzem (od Świrskich do Komorowskich), Chocinen (wieś, której nie ma) oraz Węldziszem (stolicą drwali i kłusowników).



Książka jest napisana pięknym językiem i luksusowo wydana. Do nabycia w księgarniach.

+++++

Sąd w Drohobyczu skazał na karę grzywny mężczyznę, który w niecodziennym stroju uszkodził za pomocą siekiery pomnik Jana Pawła II. Do incydentu doszło 12 grudnia 2020 roku. 40-letni mężczyzna ubrany „w narodowy strój kozacki z kozacką siekierą w rękach”, wdrapał się na cokół pomnika Jana Pawła II przed kościołem św. Bartłomieja i zaatakował figurę świętego. Siekierą uderzał w pomnik, nic sobie nie robiąc z uwag przechodniów. W rezultacie odrąbał świętemu palec u ręki. Wandal miał na sobie nie tylko strój kozacki, ale także futro ze skóry psa, ładownicę oraz taśmę na naboje. Następnie rozbił siekierą znicze, które postawiono przy pomniku. Sprawca przyznał się do winy, a sąd ukarał go grzywną w wysokości 17 tys. hrywien (około 2,3 tys. złotych. (www.kresy.pl))

+++++

Redakcja zaprasza do współpracy i nadsyłanie wspomnień o wydarzeniach na naszych Kresach.

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 152. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, VII 2021 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.

ISSN 2544-0012